

N
A
N
Φ
F
A
N
T
A
Z
J
E
—
2.0

MIKROPOWIADAŃ
ANTOLOGIA





Fantazmaty
Grupa Wydawnicza

N F
A A
N N
Ø T
ANTOLOGIA
MIKROPOWIADAŃ
A Z
J E
—
2.0

Kraków 2020

Redaktor prowadzący: Dawid Wiktorski

Redakcja: Agata Bisiecka, Sylwester Gdela, Łukasz Skoneczny, Magdalena Świerczek-Gryboś, Alicja Tempłowicz, Agata Tryka, Dawid Wiktorski

Korekta: Maria Bernaciak, Aleksandra Buczyńska, Kinga Grodzka, Karolina Grzeszczak, Kaja Jaroszevska, Katarzyna Kon, Milena Macul, Katarzyna Płońska, Alicja Podkalicka, Kaja Pudełko, Michał Rymaszewski, Ilona Skrzypczak, Agnieszka Stawarczyk, Maciej Sznurkowski, Magdalena Żurawska

Koordinacja redakcji: Karolina Grzeszczak, Magdalena Świerczek-Gryboś

Koordinacja korekty: Alicja Podkalicka

Koordinacja weryfikacji: Anita Brzozowicz, Małgorzata Lisiecka, Damian Szandeki

Ilustracja na okładce: Max Bedulenko

Projekt typograficzny: Kamila Dankowska

Skład i łamanie: Kamila Dankowska

Kontakt: kontakt@fantazmaty.pl

ISBN:

ePub: 978-83-66058-29-3

mobi: 978-83-66058-30-9

PDF: 978-83-66058-31-6

Oprawa miękka: 978-83-66058-04-0



Ten utwór jest dostępny na licencji Creative Commons: Uznanie autorstwa

Użycie niekomercyjne – Bez utworów zależnych 4.0 Międzynarodowe.

Dozwolone kopiowanie i rozpowszechnianie utworu w dowolnym medium i formie.

Uznanie autorstwa – utwór należy odpowiednio oznaczyć, podać link do licencji i wskazać, jeśli zostały dokonane w nim zmiany. Możesz to zrobić w dowolny, rozsądny sposób, o ile nie sugeruje to udzielania przez licencjodawcę poparcia dla Ciebie lub sposobu, w jaki wykorzystujesz ten utwór.

Użycie niekomercyjne – nie należy wykorzystywać utworu do celów komercyjnych.

Bez utworów zależnych – remiksując, przetwarzając lub tworząc na podstawie utworu, nie wolno rozpowszechniać zmodyfikowanych treści.

Fantazmaty tworzone są również przez:

Redaktorzy: Anna Baj, Agata Bisiecka, Sylwia Bogdańska, Amelia Borowiak, Magda Brumirska-Zielińska, Anita Brzozowiec, Justyna Dąbrowska, Anna Dudało, Sylwester Gdela, Karolina Grzeszczak, Paulina Grzybowska, Alicja Kiełczewska, Aleksandra Machnowska, Krzysztof Matkowski, Aleksandra Miaskowska, Michał Pięta, Zuzanna Pikul, Łukasz Skoneczny, Damian Szandeki, Marta Szymczyk, Joanna Świdowska, Magdalena Świerczek-Gryboś, Agata Tryka, Dawid Wiktorski

Korektorzy: Maria Bernaciak, Aleksandra Buczyńska, Justyna Dąbrowska, Kinga Grodzka, Karolina Grzeszczak, Kaja Jaroszevska, Katarzyna Kon, Milena Macul, Katarzyna Płowska, Alicja Podkalicka, Kaja Pudełko, Michał Rymaszevski, Ilona Skrzypczak, Agnieszka Stawarczyk, Maciej Sznurkowski, Dominika Świątkowska, Matylda Zatorska

Weryfikatorzy: Agata Bisiecka, Anita Brzozowiec, Agnieszka Chodkiewicz, Mariusz Flejszar, Joanna Gasińska, Eliza Gościńskiak, Paulina Grzybowska, Marcelina Kopaczka, Magdalena Kuenty, Małgorzata Lisiecka, Jakub Moroński, Patrycja Pancerz, Magdalena Piniak, Anna Sikorska, Ilona Skrzypczak, Aleksandra Smoczyńska, Damian Szandeki, Joanna Świdowska, Magdalena Świerczek-Gryboś, Anna Twarowska, Marlena Urbaniak, Karolina Węglarz, Anna Wybraniec, Joanna Zajęc, Anna Ziółkowska

Recenzenci: Anna Baj, Agnieszka Chodkiewicz, Tymoteusz Czyż, Anna Godoń, Szymon Góraj, Ewa Iwaniec, Małgorzata Lisiecka, Marcin Piecyk, Magdalena Piniak, Anna Sikorska, Patrycja Smaga, Klaudia Sowiak, Paula Wanarska, Szymon Żak

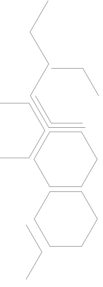
Graficy: Emilia Baczyńska, Kamila Dankowska

Strona: Marta Szymczyk, Sebastian Zarębski

Audiobooki: mako, Amelia Borowiak, Aneta Kosno

SPIS TREŚCI

Przedmowa	9
Prestiż	11
Jerzy Rzymowski	
Szalony Stangret i Kareta Wynalazków	15
Krzysztof Niedzielski	
Bogostan	25
Radosław Dąbrowski	
Śladami Kartezjusza	33
Michał Brzozowski	
Arabeski nad hebanowymi schodami	39
Maciej Żołnowski	
Prekursorium	43
Patrycja Paliczka	
Trudno uwierzyć, że nic nie zostało	53
Michał Puczyński	
Rekonstrukcja ostatnich dni doktora Diuela	65
Michał Gralak	
Pakty	77
Tomasz Kempski	
Pleń	89
Dagmara Adwentowska	



PRZEDMOWA

Każde słowo jest na wagę złota, chociaż czasami trzeba mu pomóc trafić tam, gdzie jego miejsce. Od tego może zależeć przekaz całej historii. Nawet jeśli proces tworzenia nie przebiega gładko i wymaga więcej zaangażowania, satysfakcja, którą czuje się w momencie, kiedy wszystko zaczyna układać się w pożądany obraz i fabułę, potrafi wynagrodzić wcześniejsze niepowodzenia.

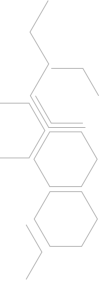
Liczba tekstów wciąż przysyłanych w ramach naboru do „nano-Fantazji” upewnia nas w przekonaniu, że zapoczątkowanie nowej serii antologii bez tematu przewodniego było dobrą decyzją. Autorzy najwyraźniej lubią takie historie pisać, my nad nimi pracować i mamy nadzieję, że Wy, czytelnicy, z równą chęcią przystąpicie do ich lektury.

Zajrzenie do niepowtarzalnie wykreowanych światów przez uchylone drzwi tylko na moment, ale wierzymy, że kiedy będziecie musieli je opuścić, zrobicie to z zachwytem wywołanym poznaną historią i z ekscytacją na samą myśl o zgłębieniu tajemnic kolejnego pomieszczenia. Tym oto sposobem spróbujecie dostać się na gzymś ponad hebanowymi schodami zaraz po powrocie z wyjątkowego przedstawienia. Jeśli choć raz zejdziecie do piwnicy, już nigdy nie będziecie musieli walczyć ze snem, a gdy dane Wam będzie rozpocząć karierę szofera bogów, uważnie rozglądajcie się w poszukiwaniu Szalonego Stangreta...

Na koniec najważniejsze – nie możecie stracić z tego ani słowa.

Anita Brzozowicz





PRESTIŻ

Jerzy Rzymowski

Byli jego ulubioną publicznością.

Występował w tej sali zaledwie sześć razy do roku – taki miał kontrakt, jednak gdyby nie inne zobowiązania, mógłby tam dawać przedstawienia choćby każdego dnia. Nigdzie indziej nie miał na pokazach takiej atmosfery – publiczności wymagającej, lecz zarazem chłonej każdy jego gest z podobną, niezmienną uwagą i niemym zachwytem. On zaś odwdzięczał im się, jak mógł – dopracowując każdy szczegół występu do perfekcji i przedłużając spektakle.

Tym razem miał dla nich coś specjalnego. Przygotowywał się do tego dnia przez parę lat, wiedząc, że będzie to wyjątkowa chwila – magiczna pod każdym względem. Zaprojektował numer z największą precyzją, osobiście nadzorował wykonanie najdrobniejszych detali z najlepszych dostępnych materiałów. Później zwiózł wszystko na miejsce i doprowadził personel do szału, gdy wyłączył salę z użytku na trzy dni, aby móc w spokoju rozstawić sprzęt. Nie byli zadowoleni z takiego obrotu spraw, jednak nie protestowali – wiedzieli bowiem, jak ważne są jego występy.

I teraz wreszcie nadszedł oczekiwany moment. Miał już za sobą sztuczki karciane (był tak podekscytowany, że przy jednej o mało nie rozsypał kart – zamaskował to zgrabnym żartem i nie zauważono jego

potknięcia), wszelkie drobne iluzje, a także pozostałe punkty programu należące do wyższych stopni wtajemniczenia. Publiczność, jak zwykle cudownie skupiona, trwała zastygła w zachwycie. On zaś myślami był już przy tym, co przygotował na wielki finał. Uroczą asystentka pospieszenie usuwała rekwizyty z poprzedniego numeru, gdy wyszedł na środek sceny i przemówił z emfazą:

– Panie i panowie! Na zakończenie naszego dzisiejszego spotkania przygotowałem dla was coś szczególnego. Ten punkt programu stanowi ukoronowanie mojej dotychczasowej działalności artystycznej i nie będzie przesadą, jeśli stwierdzę, że właśnie wam zawdzięczam natchnienie. Potraktujcie to jako wyraz wdzięczności dla mojej ulubionej publiczności.

Mówiąc, skłonił się głęboko, wywijając połamami płaszcz. Później wyprostował się, rozłożył ręce i zawołał donośnie:

– A zatem... zaczynajmy!

Gdy opuszczali salę, na ich twarzach malowało się zdumienie i zachwyt. Jedni śmiali się w głos i klaskali uradowani jak małe dzieci. Drudzy patrzyli po sobie z niedowierzaniem, jakby szukając u pozostałych potwierdzenia tego, co ujrzeli. Jeszcze inni ukradkiem ocierali łzy, a nawet otwarcie płakali ze wzruszenia, nie zważając wcale na reakcje otoczenia. Zupełnie obcy sobie ludzie ściskali się, poklepywali po plecach, wymieniali opinie podniesionymi z emocji głosami. Starszy mężczyzna urządził wyścig z rudowłosym młodzieńcem – sędziująca biegaczom kobieta śmiała się perliście i machała chustką jak flagą rajdową. Drobną, piegowatą dziewczyną wspięła się na najbliższe drzewo i demonstrowała na jednej z gałęzi, jak się robi wymyki – jedni widzowie hałaśliwie komentowali jej wyczyny, inni figurę i kolor majtek błyskających spod spódniczki przy akrobacjach. Pragnęli wrócić do domów i podzielić się swą radością z rodzinami; wykrzyzczeć i wyśpiewać ją całemu światu. To przeszło ich

najśmielsze oczekiwania. Byli jego ulubioną publicznością, a on tak im się odwdzieczył...

– *Voilà!*

Klasnął w dłonie i na ten sygnał spektakl dobiegł końca. Ta iluzja okazała się absolutnym tryumfem. Czuł, jak głęboko ich poruszył, widział łzy ciekące po policzkach niektórych widzów. Wiedział, że to wspomnienie będzie im towarzyszyć już zawsze. Dumny z siebie i rozpromieniony, raz po raz kłaniał się i zamiatał scenę połamami płaszcza.

Wreszcie zniknął za kulisami, a ekipa techniczna przystąpiła do zbierania sprzętu. Na salę weszły pielęgniarki i w ciszy wyprowadziły wózki. Pacjentów odwieziono z powrotem do łóżek – opróżniono im baseny, umyto i podłączono kroplówki. Zdawało się, że wszystko wróciło do normy. I tylko wyraz ich oczu i wilgotne ścieżki błyszczące na zastygłych w niezmiennych grymasach twarzach sparaliżowanych świadczyły o tym, że zdarzyło się coś szczególnego.

Byli przerażeni, że kolejne przedstawienie już za dwa miesiące.

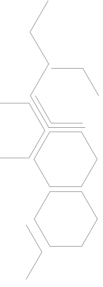
Opowiadanie opracowali:

Redakcja: Dawid Wiktorski

Korekta: Alicja Podkalicka, Ilona Skrzypczak

Weryfikacja: Paulina Grzybowska, Aleksandra Smoczyńska, Anna Twarowska, Anna Wybraniec

Sczytywanie: Sylwester Gdela



SZALONY STANGRET I KARETA WYNAŁAZKÓW

Krzysztof Niedzielski

Ośmioletni Nugakot był uważany za dziwne dziecko. Gdy znów przybyło mu tyle samo wiosen, nikt już nie miał wątpliwości, że wyrósł z niego odmieniec. Nikomu, nawet jego rodzinie, nie przyszło do głowy, by podziwiać nietuzinkowość chłopca. Nugakot miał jednak dar szczególny – czytał wydarzenia z przedmiotów. Biorąc do ręki płaszcz, umiał z precyzją określić, kto i kiedy w nim chodził, znał także przebieg wszelkich odbywanych wówczas rozmów. Początkowo mógł w ten sposób sięgnąć pamięcią do czasów sprzed zaledwie kilku dni. Odleglejszych historii było w przedmiotach zbyt dużo – tworzyły chaos, którego jako dziecko nie potrafił okiełznać. Poświęcał jednak każdą wolną chwilę doskonaleniu swoich umiejętności i w końcu nauczył się rozpoznawać zdarzenia sprzed wielu miesięcy.

Rodzice martwili się o dziecko. Wzywani na pomoc medycy nie potrafili wyjaśnić tej niezwyklej przypadłości. Co gorsza, sami zostawali poddawani diagnozie. Młody Nugakot złapał kiedyś skalpel jednego z wędrownych felczerów i po krótkiej obserwacji jego przeszłości oskarżył mężczyznę o trzy nierzetelne operacje, z których jedna skutkowa

śmiercią pacjenta. Skończyło się na oburzeniu medyka i trzaśnięciu drzwiami.

Od tamtego zdarzenia rodzice lękali się o życie syna. W każdej chwili mógł wyjawić sekret kogoś, kto w obawie przed demaskacją gotowy będzie chłopaka uciszyć. Szesnastoletni Nugakot został odesłany z miasteczka na wieś, do dalekiego krewnego – Turysmona. W otoczeniu owiec, krów i kur jego zdolności nie mogły zostać odkryte przez ludzi.

Początkowo młodzieniec nie przysparzał problemów. Pomagał przy obejściu i wypasał owce na wzgórzach pokrytych trawą. Wuj nie wysyłał go na pobliski targ. W liście od rodziców Nugakota otrzymał wyrażną instrukcję, by trzymać chłopca z dala od ludzi.

Turysmon pilnował tych zaleceń do czasu, aż zaczął podkochać się w sąsiadce mieszkającej obok lasu, wdowie po leśniczym, i postanowił zdobyć jej serce. Nie czuł się gotowy do bezpośredniej walki o względy kobiety, dlatego zaczął czynić różne podchody. Młody Nugakot pomagał mu, jak tylko mógł. Wuj wysyłał go do wybranki z różnymi upominkami, najczęściej ciastem własnej roboty. Nugakot rano zanosił poczęstunek, a wracając z pastwiska odbierał talerz i pochwały, które skrzętnie zanosił opiekunowi.

Wuj był rozpromieniony i zaczął planować wspólną przyszłość z kobietą, co Nugakot przyjął ze smutkiem. Nie podzielał jego pogody ducha, gdyż znał sekrety wdowy. Wyczytywał wszystko z pustego talerza niczym z prywatnego pamiętnika. Nie tylko ona rozkoszowała się ciastem – zjadał się nim także strażnik bramy z pobliskiego miasta, naśmiewając z naiwności wuja. Co gorsza, wdowa szydziła z zalotnika jeszcze bardziej niż nieznajomy. Nugakot pragnął wyjawić wujowi prawdę, jednak milczał. Matka z ojcem ostrzegali go, by nie używał daru, inaczej napyta sobie biedy.

Trzymał talent w sekrecie, dopóki talerz nie przekazał mu nowych budzących trwogę wieści. Wdowa razem ze strażnikiem planowali wyłudzić od Turysmona jego kosztowności. Nugakot nie mógł do tego dopuścić. Był jeszcze młody i zamiast wymyślić fortel, wybrał najprostsze rozwiązanie – wyjawił sekret wujowi. Mężczyzna nie wpadł w rozpacz

ani gniew, a jedynie się zamyślił. W stanie niespodziewanego spokoju wyszedł z domu, by zająć się tym, co miał tego dnia w planach, czyli ubojem świni.

Nugakoł nie roztrząsał dalej tej kwestii, nie zastanawiał się też, czy wuj potrzebuje pocieszenia. Nie wynikało to z braku sympatii do pocziwego Turysmona. Nugakoł po prostu przelewał wszystkie uczucia na przedmioty, którymi się opiekował. Gdyby wdowa i strażnik uszkodzili talerz, wówczas cierpiałby nad nim i może nawet wujowi dostałoby się słowo pocieszenia z powodu straty tak przydatnej rzeczy.

Mijały kolejne dni. Turysmon przestał wysyłać podarki dla wdowy. Nugakoł codziennie przechodził obok domu kobiety, lecz nigdy nie ujrzał jej przy furcie lub w ogrodzie, co wcześniej było normą. Nie interesowało go to. Wstąpił do niej dopiero, kiedy po nocnej burzy przewrócił się jej strach na wróble.

– Dzień dobry! – rzekł i zapukał knykciem w drzwi. – Przepraszam, że niepokoję...

Mocne drzwi, z buku – pomyślał i przyłożył do nich całą dłoń. Sięgnął po ślady zachowane w przedmiocie. Czuł każde z nich, musiał je jedynie uporządkować i pozwolić, by przekształciły się w jego głowie we wspomnienia. Zdziwił się. W ciągu ostatnich dni wdowy nie odwiedzał strażnik, zjawili się natomiast dwaj inni mężczyźni.

Chciał wgłębić się we wspomnienia tamtych wydarzeń, gdy drzwi poruszyły się, co zmusiło go do cofnięcia ręki.

Okazało się, że to nie wdowa mu otworzyła. Nie zrobił tego też nikt inny. Drzwi były słabo domknięte i uchyliły się pod wpływem nacisku jego dłoni.

Ostrożnie przekroczył próg. Zobaczył poprzewracane meble i ubrania walające się po podłodze, a do jego nosa dotarł nieprzyjemny zapach. Ujrzał trupa leżącego na pryczy. Wdowa patrzyła w pustą przestrzeń szeroko otwartymi, nieruchomymi oczyma. Nugakoł spojrzał na nóż wbity w jej brzuch. Podeszedł i chwycił rękojeść.

To nim kroila ciasta od wuja, a także bochny chleba. Ostatnim zachowanym wspomnieniem była śmierć zadana ręką jednego z dwóch obcych mężczyzn, których Nugakot poznał, dotykając drzwi.

Chłopak odetchnął z ulgą. Turysmon nie był winien śmierci wdowy.

Nugakot nie zdążył poznać przebiegu rozmowy zabójców, gdyż spłoszyły go głosy dobiegające zza domu. Wskoczył przez okno i ukrył się za drzewami. Dostrzegł stamtąd grzybiarzy, którzy podobnie jak on zainteresowali się przewróconym strachem na wróble. Chłopak wiedział, jak to się skończy, czmychnął więc stamtąd, ile miał sił w nogach.

Tragiczna wiadomość szybko rozniosła się po wsi. Domagano się sprawiedliwości, a żeby ta mogła się ziścić, potrzebny był winowajca. Znalaziono go w osobie Turysmona.

Strażnicy z miasta przyszli po wuja o świcie. Wśród nich znajdował się dawny kochanek wdowy. Nugakot protestował, broniąc niewinności swojego krewnego, za co otrzymał dwa ciosy pięścią w twarz i kopniaka w brzuch.

W południe odbył się sąd. Turysmona uznano za winnego zabójstwa. Nawet nóż miał należeć do niego, co było bzdurą. Wieczorem postawiono we wsi szubienicę. Nugakot biegał wokół posępnej konstrukcji i starał się obronić wuja. Krzyczał, jak dobrym człowiekiem jest Turysmon. Mówił też o dwóch obcych mężczyznach, z których jeden zadał śmiertelny cios nożem. W pewnym momencie sędzia złapał go za rękaw i spojrzał głęboko w oczy.

– Byłeś przy tym, jak zabili wdowę po leśniku? – zapytał.

– Nie – przyznał szczerze Nugakot.

– Zatem skończ te fantazje, chłopcze – ostro odpowiedział sędzia, po czym zreflektował się i dodał łagodniej: – Rozumiem, że to twój opiekun i krewniak, ale narzędzie zbrodni jest jego i do tego miał motyw. Wdowa nie przyjęła jego zalotów, więc ją zabił.

Z samego rana rozpoczęto egzekucję. Skazany mógł spotkać się z Nugakotem na krótką rozmowę. Stał przed nim w łańcuchach i z gotowym do ewentualnego strzału kusznikiem dziesięć metrów dalej. Jego ostatnią wolą było, by chłopak otrzymał konia, dar od lorda uratowanego

przed laty z zamieci. Reszta majątku miała trafić do jego najbliższych krewnych – siostry i jej synów.

– Ostatnie słowo? – zapytał zakapturzony kat.

– Niech ten cholerny świat pocałuje mnie w dupę, a przekłęci ludzie nawet tego nie próbują. Nie zasłużyli sobie.

Wytrącono stołek spod nóg skazańca. Nugakot patrzył jak zahipnotyzowany, lecz nie na wijące się ciało wuja, a na naprężoną linę odbierającą mu życie. Po wszystkim zapytał kata, czy mu ją podaruje. Oprawcę zdziwiła niecodzienna prośba. Zgodził się, gdyż było mu żal młodzieńca.

Nugakot schował linę do tobołka, obiecując sobie wspominać ostatnie słowa wuja ku przestrodze za każdym razem, gdy świat wyda mu się piękny, a ludzie dobrzy.

Wrócił konno do miasteczka i swoich rodziców. Tam dowiedział się o smutnym stanie ich finansów i ryzyku utraty domu. Postanowił naprawiać przedmioty, by nieco zarobić. Znał się na nich jak mało kto, dysponował zręcznością i cierpliwością, a do tego nim wyjechał na wieś zdążył wiele się nauczyć od zdolnego ojca. Niestety niewielu było chętnych do skorzystania z jego usług.

Gdy w okolicach miasteczka doszło do rozboju, w wyniku którego z karety zrabowano mnóstwo monet pochodzących między innymi z podatków, rozniosła się wieść o sowej nagrodzie dla tego, kto pomoże złapać sprawców. Nugakot zgłosił się jako jeden z wielu śmiałków. Słyszał, jak ludzie się oczerniają, zrzucają winę jeden na drugiego, łudząc się, że może akurat będą mieli rację. Myśl o zysku ich zaślepiała. Nugakot nie wskazał winnego od razu. Poprosił o możliwość obejrzenia karety.

Wszedł do środka i zaczął dotykać siedzeń oraz ścianek. Poznał wygląd rabusiów, a także ich imiona. Byli bardzo gadatliwi, gdy wyciągali spod siedzeń skrzynki z monetami. Podał tożsamość winnych, lecz strażnicy wątpili w jego prawdomówność. Nasłuchali się w ostatnich dniach tylu oskarżeń, że musieliby przeczesywać wszystkie domy i aresztować co drugiego mieszkańca. Uwierzył mu jedynie najęty do sprawy tropiciel Kabettor.

Po imionach i rysopisach łatwo znalaziono owych ludzi, którzy po przesłuchaniu przyznali się do winy i wskazali miejsce ukrycia łupów. Odkryto też poukrywane kosztowności. Za morderstwo i rabunek czekała ich śmierć.

W ramach zapłaty Nugakot dostał tyle monet, że rodzice nie musieli obawiać się wyrzucenia na bruk. Dodatkową nagrodą była pechowa karetą.

Podczas odbioru pieniędzy burmistrzowi towarzyszył tropiciel. Nugakot podszedł do niego i zadał pytanie, które od dłuższego czasu kołatało mu w głowie.

- Dlaczego pan mi uwierzył?

- Ty jedyny mówiłeś głosem spokojnym i rzeczowym, a do tego pofatygowaleś się, żeby obejrzeć karetę – wyznał mężczyzna. – Reszta krzyczała niczym na jarmarku. Banda hołoty.

Nugakot zrozumiał, że oto ma przed sobą drogę, którą powinien podążać. Ze swoim talentem i umiejętnościami Kabettora mogli rozwiązać każdą zagadkę świata. Zaoferował swoje usługi.

Tropiciel był zaskoczony. Pojął, jakie szczęście wpadło mu w ręce, gdy chłopak wyjawiał mu sekret swojego daru. Przyjął go na pomocnika, obiecując milczeć w kwestii jego zdolności.

Odtąd rozwiązywali wspólnie zagadkę za zagadką, odkrywali tożsamość każdego rabusia bądź zabójcy. Wystarczyło, że Nugakot dotknął narzędzia zbrodni, a już znał rysopis sprawcy i wiedział, czy ten mówił coś przed zadaniem śmierci.

Tropiciel Kabettor za rozwiązane sprawy otrzymywał sówite wynagrodzenie: pieniądze, klejnoty i drogie stroje. Zyskał też sławę człowieka, przed którym nikt i nic się nie ukryje. Nugakotowi wystarczyły stare i dziwne przedmioty, jakieś rupiecie wypatrzone u poszkodowanych. Wdzięczni za pomoc domownicy dawali mu je bez pytania. Rzeczy te były dla niego cenne, dlatego chłopak składał je w swojej karecie. Miał je zawsze pod ręką, gdy podróżował z tropicielem, co dawało mu poczucie komfortu.

Lata owocnej współpracy sprawiły, że tropiciel i jego pomocnik żyli się jak rodzina. Nie zmieniło to jednak tego drugiego w osobę otwartą i stawiającą ludzi ponad fascynację przedmiotami. Nugakot jedynie podczas prowadzenia śledztw wracał do rzeczywistości, resztę czasu spędzając głównie w karecie, gdzie naprawiał rupiecie lub przerabiał je na zupełnie nowe obiekty, badał ich przeszłość i mówił do nich jak do żywych istot.

Bystre oko Kabettora szybko dostrzegło pogłębiającą się obsesję towarzysza, lecz tropiciel nie podjął próby wyprowadzenia go z szaleństwa. Nie zareagował nawet wtedy, gdy Nugakot któregoś razu pobił karczmarza, u którego nocowali, tylko dlatego, że ten potłukł swój własny półmisek. Takie incydenty zaczęły mieć miejsce coraz częściej. Tropiciel nie pochwałał zachowania chłopca, lecz też nie karał pomocnika. Zbyt wiele zyskał, mając dar Nugakota po swojej stronie. Gdyby chłopak stał się normalny, być może straciłby swoje zdolności. To utrudniłoby łapanie zbirów i obniżyło poziom życia, do którego stary przywiązał się niczym sznur do szyi wisielca.

Dziesięć lat później zbrodnia dotknęła ich bezpośrednio. Tropiciel Kabettor zginął na środku miejskiego placu, dźgnięty przez młodego sprawcę. Cóż z tego, że straż miejska ruszyła w pogoń? Wybitny łowca zbrodniarzy wykrwawił się na bruku i nie doczekał chwili, gdy sprawca zginął, zeskakując z murów na wał.

Nugakot wziął broń zabójcy do ręki i poznał prawdę. Zamach został zlecony i to przez najwyższych urzędników kilku miast. Obawiali się, że skuteczny tropiciel któregoś dnia skieruje zainteresowanie w stronę ich machlojek. Ponieważ nikt obcy nie znał talentu młodego pomocnika tropiciela, pozbyto się jedynie Kabettora.

Z władzą nie można było wygrać. Nugakot spakował dobytek. Rodzice mieli zapewniony byt, a przykłady tropiciela i wuja pokazywały, jak źle kończył każdy, kto się z nim zadawał. Porzucił więc gwarne ulice miast na rzecz gęstej sieci gościńców, gdzie jeździł swoją kareta wypełnianą coraz to nowszymi przedmiotami zbieranymi od wędrowców w zamian za podwózkę. Łączył je i przerabiał w osobliwe obiekty.

Jednym z nich był cylinder z kukułką, który odtąd nieustannie nosił na głowie. Ludzie zaczęli zwać go Szalonym Stangretem, a jego pojazd Karetą Wynałazków.

Któregoś dnia spotkał na swojej drodze dwóch mężczyzn i kobietę stojących przy uszkodzonym powozie. Jednym z nich był strażnik, zalotnik wdowy, a drugim jej morderca. Rozpoznał ich natychmiast, w czym nie przeszkodził mu upływ lat, który zostawił swój ślad na ich obliczach. Ich towarzyszkę natomiast widział po raz pierwszy.

– Człowieku, dobrze, że jesteś – rzekł morderca. – Razem z synem i synową jedziemy na bal, a pojazd nam się zepsuł. Posłałem sługę po pomoc, ale ten hultaj pewnie chleje na mój koszt w jakieś przydrożnej oberży.

Nugakot popatrzył na trzy oblicza. Nie musiał dotykać ich przedmiotów, by wszystko zrozumieć. Dedukcji nauczył się od tropiciela Kabettora. Były zalotnik wdowy pochodził z bogatej rodziny, a terminował jako strażnik najpewniej po to, by uniknąć pójścia na jedną z wielu wojen toczących się w świecie. Gdy ojciec odkrył jego romans, razem ze sługą zawiątał do wdowy ze wsi, aby zapłacić jej za zniknięcie z życia młodzieńca. Kobieta musiała wyjawic im coś, co doprowadziło między nimi do awantury, której finał Nugakot znał aż za dobrze. Być może była to wiadomość o ciąży z młodym strażnikiem. Winę zrzucili na wuja Turysmona.

– Głuchy jesteś, człeku?! – burknął młodszy.

Nugakot wyjął spod nóg laskę i, nim ktokolwiek zareagował, uderzył mężczyznę w głowę. Ten padł nieprzytomny. Jego żona wrzasnęła, a ojciec podbiegł do powozu, najpewniej po broń. Nugakot zeskoczył z kozła, aż zaszeleściła jego czarna peleryna. Dopadł do mężczyzny i zarzucił mu na szyję linę.

– Tak zginął mój wuj, gdy zaprowadzono go na szubienicę zamiast ciebie – szepnął mu do ucha. – To jest nawet ta sama pętla. Czekala, aby dopisać na swojej powierzchni ostatni rozdział tej historii.

Poluźnił uścisk, gdy mężczyzna przestał rzeźzić. Z cylindra Nugakota wyskoczyła kukułka z głośnym „ku-ku, ku-ku”. Dokonało się. Zabił mordercę, choć sam stał się jemu podobnym. Popatrzył na kobietę


tulącą nieprzytomnego męża, a potem ponownie skupił się na mordercy wdowy. Ciało leżało nieruchomo u jego stóp, zupełnie jak rzecz. Gdyby jednak Nugakot dotknął martwego, nie wyczułby tych bodźców, jakich doznawał przy kontakcie z przedmiotami.

Wsiadł na kozioł i pogonił konia. Odjechał, nie obejrzawszy się za siebie. Później docierały do niego różne wieści. Ponoć sługa możnych, gdy dotarł z pomocą do uszkodzonego powozu, nie zastał przy nim nikogo, a ich bagaże zniknęły. Uznano, że rodzina padła ofiarą zbójców.

Nugakot nie zrezygnował ze swojego zajęcia. Podwoził ludzi, lecz nie każdy z nich docierał do celu swojej podróży. Bez wieści przepadali ci, których nikczemność zdradzały ich bagaże. Z jego ręki ginęli mordercy, gwałciciele, oszuści czy złodzieje. Nugakot z czasem zaczął zabijać też osoby mające skłonność do niszczenia tak przez niego ukochanych przedmiotów. Kara mogła osiągnąć tych, którzy podczas swojej podróży nie przywiązywali wagi do stanu stroju albo wyrzucili jakiś niepotrzebny przedmiot, by zmniejszyć ciężar tobołów. Wtedy Nugakot szalony był już nie tylko z przewiska, a jego umiejętność czytania z drobiazgów stała się powszechnie znana.

Obławy na samozwańczego kata nie przyniosły skutku. Gdy pierwsza grupa poszukiwawcza miała okazję zetknąć się z mordercą podróżnych, żadna z wypuszczonych strzał go nie dosięgła. Od tamtego dnia zaczęto nawet snuć domysły, jakoby wszelkie przedmioty sprzymierzyły się z Nugakotem, swoim obrońcą. Zastanawiano się, czy po ewentualnym schwytaniu przestępcy, sznur na szubienicy zechce skrócić mu kark. Prosty lud zaczął się obawiać buntu swoich grabi i łopat, jeśli tylko stangreta spotka krzywda z rąk ludzi. Pojawiły się prośby i groźby, by szaleńca zostawić w spokoju. Inni nie wierzyli w istnienie Nugakota bądź uważali go za jakiegoś demona równego chociażby wodnym topielcom. Władze nie wierzyły w bajania wieśniaków, lecz i tak zbrojni oraz najemnicy nie potrafili złapać mordercy.

W mgliste jesienne dni, czy też w ciepłe letnie wieczory ludzie wędrujący po głównych gościńcach i pobocznych traktach ciągle musieli



nasłuchiwać z lękiem kół karety i kukania ptaka, który wyskakiwał z cylindra Szalonego Stangreta, obwieszczając godzinę śmierci.

Opowiadanie opracowali:

Redakcja: Agata Bisiecka

Korekta: Aleksandra Buczyńska, Katarzyna Płońska, Kaja Pudełko

Weryfikacja: Agnieszka Chodkiewicz, Paulina Grzybowska, Aleksandra Smoczyńska, Anna Twarowska

Szczytywanie: Patrycja Pancierz

BOGOSTAN

Radosław Dąbrowski

Anonimeusz Czternasty, najwyższy kapłan Infodruaga, pospiesznie opuścił świątynny wieżowiec. Gruby, rozdrażniony, czerwony na twarzy, truchtał niezgrabnie. Wyskoczyłem zza kierownicy i otworzyłem tylne drzwi złotej limuzyny.

– Do domu – warknął.

Popędziliśmy alejami stolicy. Wszędzie na skrzyżowaniach czekało zielone światło. Bóg przetwarzania danych okazywał łaskę ulubionemu słudze. Zerknąłem w lustro – kapłan był chorobliwie błydy. Jednym haustem opróżnił kryształową szklankę. Powoli się uspokoił, przestał sapać.

Zadzwoił telefon. Anonimeusz odebrał bez słowa, słuchał, gniewnie marszcząc brwi.

– Zrozumiałem, dziękuję – obcesowo zakończył rozmowę.

Gnaliśmy obwodnicą. Zostawiliśmy za sobą pompatyczne śródmieście, mijaliśmy betonowe sześciany dzielnic mieszkaniowych.

– Codziennie tysiąc osób! – wybuchnął znieca. – Trzysta sześćdziesiąt pięć tysięcy rocznie! Po wojnie zostało ich najwyżej na rok, oczywiście pod warunkiem, że upilnujemy samobójców i nie wybuchnie żadna epidemia. Trzeba było słuchać heretyków, zamiast wieszać ich na hakach. Mieli rację. Czas to zakończyć.

Odwrociłem wzrok o ułamek sekundy za późno. Grubas dostrzegł w lusterku moje pogardliwe spojrzenie. Zamilkł spłoszony. Dopiero wtedy uświadomił sobie, że w limuzynie jest podsłuch. Rozwścieczony rzucił się do ataku z gracją hipopotama. Szybko zasunąłem ściankę odgradzającą szoferkę od tylnej kanapy.

Pod domem czekał ambulans, trzech smutni pielęgniarze trzymali kaftan bezpieczeństwa. Wieczorne wiadomości podały, że Anonimeusz Czternasty postradał zmysły. Prawdę znała jedynie garstka najlepiej poinformowanych.

Grubas trafił na ołtarz tajnego ekskluzywnego klubu, którego prominentni członkowie słono płacili za przyjemność powolnego zabijania podobnych sobie. W zeszłym miesiącu okazał się najsłabszy. Pozostali nie atakowali od razu. Uśpili jego czujność pochlebstwami, prezentami, zabawą w luksusie. Utuczyl i prawdopodobnie zjedli.

Miałem szczęście, woziłem go tylko trzy tygodnie. Za krótko, by wciągnął mnie w swoje sprawy. Uniknąłem oskarżeń o współudział także dzięki temu, że ilekroć się odzywał, włączałem podsłuch, tak jak rozkazali agenci Centrali Obsługi Świątyń. Chętnie podpisałem zobowiązanie do zachowania tajemnicy.

Zaczyinałem skromnie, niepewny swej podłości, dręczony resztkami wyrzutów sumienia. Jeden, drugi, dziesiąty donos, pełna rzekomej troski uwaga na temat żartów kolegi i przestałem wozić jedzenie dla jeńców w obozach.

Otrzymałszy posadę kierowcy mikrobusu dla niższej rangi urzędników COŚ-u, przysiągłem sobie, że nie wrócę do kabiny ciężarówki. Milczałem, słuchałem, obserwowałem, usłużnie otwierałem drzwi. Po godzinach pucowałem kolejne, coraz elegantsze służbowe wozy. Ktokolwiek próbował kopać podę mną dołki, srodze się rozczarowywał. Żyłem skromnie, wolny od przyziemnych żądz.

Moim celem było stanowisko szofera złotych limuzyn, zarezerwowanych wyłącznie dla najwyższych kapłanów. Wielu miało chrapkę na taką posadę, sami bezwzględni cwaniacy. Żle sypiałem, czujny, stale gotowy, by odeprzeć atak, rozszyfrować podstęp. Przełożeni codziennie testowali moją lojalność, dyskrecję, odporność na pokusy.

W końcu, wyczerpany, chory od paranoi, balansujący na krawędzi szaleństwa, dopiąłem swego. Krawiec uszył dla mnie seledynową liberię, spodnie z lampasami i białe rękawiczki. Chcąc utrzymać wywalczoną z trudem pozycję, musiałem starać się jeszcze mocniej. Granica tego, co znaczy „mocniej”, wciąż się przesuwiała.

Nie wiem, kto zdecydował o posadzeniu mnie za kierownicą limuzyny Opałka. Jego także polecono mi śledzić i nagrywać. Miał wielu wrogów. Jako pierwszy zaniechał ofiar z ludzi, poprzestając na filmowaniu ich podczas upokarzających rozmów. Uszło mu to płazem wyłącznie dlatego, że uznano tę decyzję za artystyczny eksperyment. Najwyższy kapłan Sztukostawa, otoczony wianuszkiem pochlebców i młodych wyznawczyń, spokojnie przechadzał się po świątyni o srebrnych ścianach.

Kursowaliśmy między galeriami. Tym razem to ja próbowałem zagadywać, a on milczał. Sprawdzał, czy obowiązkowe ołtarzyki boga sztuki wyglądają odpowiednio awangardowo. Często znajdował uchybienia, lecz wypisywane przez marszandów czeki łagodziły jego gniew. Służyłem pokornie, potakiwałem, schodziłem z drogi. Za późno zrozumiałem, że to wytrawny gracz. Im bardziej usiłowałem być niewidzialny, tym mocniej się mną interesował.

Podczas Nocy Spłaconych Kredytów przyjechałem po niego na ucztę kończącą miesiąc ceremonii ku czci Groszomiła. Przekrzywiony wieniec z banknotów o wysokich nominałach, niekompletny strój oraz czkawka kazały podejrzewać, że Opałek chce wrócić do apartamentu nieopodal świątyni. Ponieważ milczał, ruszyłem w tamtą stronę.

– Zjedź tu na parking – ożywił się znienacka, sięgając po kamerę.

Udałem przestrach, by zamaskować radość, że nareszcie nadarzyła się okazja, by nagrać więcej niż komendy.

- Przesiądź się tutaj – nakazał tonem, którym strofował pracowników galerii.

- Panie, nie powinienem...

- Siadaj tu!

Postusznie wypełniłem polecenie. Wycelował we mnie obiektyw.

- Mów.

- Ale o czym?

- O sobie.

- Jestem tu od niedawna – mamrotałem wyćwiczoną kwestię. – Wcześniej woziłem niższych kapłanów, zaczynałem jako dostawca jedzenia dla jeńców.

- Jak się czujesz w tej pracy?

- Pokornie służę bogom.

- Lubisz żyć w luksusie, korzystać z przywilejów?

- Nie – zapewniłem, patrząc mu w oczy.

- Co myślisz o krwawych ofiarach?

- Bogowie najlepiej wiedzą, czego im trzeba.

- Naprawdę?

- Tak.

- Którego kochasz najbardziej?

- Autosława.

- Serio? – Spojrzał na mnie z niesmakiem. – Nosisz to bóstwo głęboko w sercu?

- Tak.

- Chciałbyś zostać jego kapłanem?

- Nieznane są wyroki...

- Chcę do domu – wycodził chłodno Opalek i wyłączył kamerę.

Dwudziesty rok służby zacząłem zdegradowany do roli kierowcy trzyosiowej ciężarówki. Czekałem pod stadionem po świątecznych obrzędach. Pilnowani przez uzbrojoną straż jeńcy napełniali chłodnię okaleczonymi zwłokami. Wożąc je do kompostowni, obmyślałem zemstę na Opałku. Wiedziałem, że plany nigdy się nie ziszczą, ale uparcie je precyzowałem. O świcie, po naszej rozmowie zamaskowani funkcjonariusze wyłamali drzwi mojego mieszkania. Prowadzony do furgonetki o przyciemnionych szybach wiedziałem, że to jego sprawka. Pochlebiało mi to. Poczul się zagrożony, rozpoznał we mnie drapieźnika, ale zamiast wyzwać na pojedynek, tchórzliwie wystąpił się innymi.

Żądając mojej głowy podczas rozprawy, kapłan oskarżał mnie o bycie bezdusznym oportunistą ukrytym za religijnie poprawnymi odpowiedziami. Wszyscy na sali wiedzieli, że równie dobrze mógłby powiedzieć to samo o sobie. Nie musieli się tym przejmować. Opałka poparł prawnik ze świątyni Infodruka, przypominając moją rolę w sprawie Anonimeusza. Wysoki rangą funkcjonariusz COŚ-u nie próbował mnie bronić. Następnego dnia wypadało święto Prąduna. Perspektywa egzekucji na tronie elektrycznym nie była najgorsza. Inni bogowie woleli okrutniejsze hołdy. Ocalałem wyłącznie dzięki wstawiennictwu wpływowych kapłanów Obserwomiła i Autosława.

Wyrzucenie za burtę miało plusy: nikt nie knuł przeciw kierowcy trupowozu. Zniknęła bezsenność, monotonna praca koła stargane nerwy. Poznawszy wszystkie szczyble piramidy, nie miałem ochoty znowu wchodzić na szczyt. Najmilej wspominałem wożenie starego przeora klasztoru. Tęskniłem za wielogodzinnymi sjestami w cieniu dębów. To mogło być coś dla mnie.

Odzwyczajęm się od wielkomiejskiego ruchu. Kierowanie klasztornym dostawczakiem okazało się bardzo przyjemnym zajęciem. Mnisi rzadko mnie potrzebowali. Raz na miesiąc woziłem do stolicy kosze słynnych serów ich wyrobu.

Wyprzedzająca na podwójnej ciągłej złota limuzyna minęła mnie o mały włos. Kierujący nią posiadacz seledynowej liberii za dużo sobie pozwalał. Może to on zajął moją posadę, pewnie kolejny rozwydrzony synalek kapłana. Powstrzymałem gniew, nie popędziłem za nim, choć korciło mnie, by przyspieszyć, torować sobie drogę klaksonem i długimi światłami. Wartki nurt popołudniowego szczytu poniósł dostawczaka tak, że limuzyna znalazła się tuż przed jego przednim zderzakiem. Żółtodziób zahamował zbyt gwałtownie, nie zdążyłem zareagować. Popchnięta przez furgonetkę limuzyna rozwalila barierkę i z gracją, lekko obracając się w locie, znikła mi z oczu. Odruchowe szarpnięcie kierownicą uratowało mnie przed podążeniem jej śladem.

Użalanie się nad sobą nie miało sensu. Radiowozy policji i COŚ-u zablokowały obie strony wiaduktu. Migwały pomarańczowe i fioletowe światła. Furgonetka utknęła w zamrzniętym potoku samochodów. Biegący w moją stronę funkcjonariusze wyjmowali z kabur pistolety. Uniosłem ręce nad głowę. Zabójcy kapłanów umierali tygodniami. Wyobrażenia podsuwała obrazy czekających mnie tortur.

Bum! Słyszając za sobą wybuch, kątem oka zerknąłem w lusterko. Kłęb czarnego dymu wznosił się nad estakadę z miejsca, gdzie spadła limuzyna. Mundurowi podchodzili ostrożnie. Pierwsi dwaj, idący z bronią gotową do strzału, mieli do przejścia zaledwie kilka metrów. Jeden stał już przy drzwiach wozu, dzieliła nas tylko szyba. Nerwowo przełknął ślinę, bał się bardziej niż ja.

– Stop! Natychmiast przerwać akcję! – zaczęła jazgotać jego krótkofalówka. – Odeskortować nowego najwyższego kapłana KrakSORADA do świątyni! Powtarzam...

Funkcjonariusz padł na asfalt. To samo zrobili pozostali. Oblał mnie pot, serce łomotało jak szalone.

– Proszę państwa! – Z wewnątrz stojących w korku wozów dobiegały podniecone głosy spikerów. – Przerwywamy audycję, by podać ważną informację. Dzwonian Czteryśta Drugi, najwyższy kapłan KrakSORADA, zginął w wypadku samochodowym. Tak jak nakazuje tradycja, sprawca kolizji

automatycznie został jego następcą. Niech żyje Jakjedziesz Siódmy!
Zalecane objazdy...

Słuchałem z rozdziawionymi ustami. Wszystko działo się jakby obok. Mówili o mnie? Naprawdę zdobyłem miejsce na tylnym siedzeniu złotej limuzyny? Zostałem ocalony i skazany jednocześnie. Oddychałem głęboko, policzyłem w myślach do dziesięciu, tak jak zwykłem czynić, gdy szukałem właściwej trasy, zgubiwszy się w labiryncie ulic. Włączyłem światła, nacisnąłem klakson. Odpowiedziało mi trąbienie tysięcy aut.

Od razu po objęciu stanowiska rozpocząłem reformę kultu pana wypadków drogowych. Opracowałem atrakcyjniejsze metody składania ofiar. Kazałem przywiązywać kierowców do siedzeń, blokować pedały gazu i wypuszczać na murawę stadionu nie dwa, ale przynajmniej siedem aut jednocześnie. Otoczony gromadką pochlebców obserwowałem, jak odbijały się od siebie, dachowały, wybuchały, stawały w płomieniach. Dręczyłem szoferów przysyłanych przez COŚ. Przestałem dokładnie w momencie, gdy jasne było, że nie ma ze mną żartów, ale nie uchodziłem jeszcze za okrutnika.

Na głowie mam obrzędową maskę, przypomina szoferkę ciężarówki, oczy to cztery żółte, halogenowe reflektory. Daremnie próbuję zagłuszyć szepc wewnątrz głowy. Nawet i bez niego ciągle pamiętam, że moje dni są policzone. Chętnych na bycie kapłanem KrakSORada jest więcej niż chcących zostać szoferami. Z tylnego siedzenia gorzej widać drogę. Ani trochę nie ufam swojemu kierowcy.

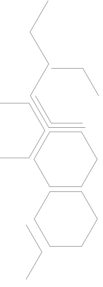
Opowiadanie opracowali:

Redakcja: Sylwester Gdela

Korekta: Maria Bernaciak, Kinga Grodzka, Katarzyna Płońska

Weryfikacja: Joanna Gasińska, Damian Lupa, Anna Twarowska, Joanna Zajac

Szczytywanie: Anita Brzozowiec, Sylwester Gdela, Patrycja Pancierz



ŚLADAMI KARTEZJUSZA

Michał Brzozowski

Kuba zainteresował się filozofią w bardzo wczesnym wieku. Dość powiedzieć, że do dwunastego roku życia zdążył zapoznać się z „Metafizyką” Arystotelesa, „Myślami” Pascala i „Poza dobrem i złem” Nietzschego. I nie zrobił tego, by popisywać się na lekcjach języka polskiego. Gdy polonistka, zachwycona i onieśmielona wiedzą chłopca, pochwaliła Kubę przy całej klasie, ten tylko ukłonił się nisko i odparł:

– Bo w życiu chodzi o to, by żyć szybko i umierać młodo.

Kiedyś też fascynował się samochodami, piłką nożną i gadżetami. Potem jednak przyszedł kryzys egzystencjalny i nastąpiło przewartościowanie wartości, jak powiedziałby jeden z późniejszych idoli chłopca. Wspomniany kryzys przybył podczas piątych urodzin malca. Rzecz jasna nie dostał zaproszenia.

Po pomyśleniu życzenia i zdmuchnięciu świeczek nadszedł czas na zjedzenie tortu i odpakowanie prezentów – kolejny błyszczący resorak dołączył do kolekcji. Kuba bardzo nie chciał iść jeszcze do łóżka, więc rodzice zaproponowali zabawę w chowanego. Rozpoczęło się dramatyczne odliczanie.

– Sto, dziewięćdziesiąt dziewięć...

Chłopak najpierw próbował zmieścić się pod łóżkiem, lecz po zjeździe połowy tortu okazało się to niemożliwe.

- ...sześćdziesiąt siedem...

Łodówka zdecydowanie nie była najlepszym pomysłem.

- ...czterdzieści pięć...

Dostanie się do środka regału wymagałoby wyjęcia dwóch tuzinów książek. Kuba nie dawał za wygraną i biegał po domu w poszukiwaniu kryjówki.

- ...dwadzieścia osiem...

Gdy usłyszał liczbę mniejszą od trzydziestu, w przypływie adrenaliny wskoczył na łóżko i po odbiciu się od materaca złapał za krawędź szafy.

- ...szesnaście...

Wdrapał się na stary mebel i ukrył pod kolekcją beretów, szalików i czapek.

- ...trzy... dwa... jeden... Szukam!

Mama sprawdziła pod łóżkiem, podczas gdy tata przeszukiwał łodówkę. Potem przyszła kolej na regał, ale i tam rodzice nie znaleźli zguby.

- Henryku, chyba już go nie znajdziemy – powiedziała mama, bezradnie rozkładając ręce.

Tata, oparty plecami o szafę, na której – pod stertą ubrań nadgryzionych zębem czasu i paszczami moli – chował się Kuba, jeszcze bardziej bezradnie złapał się za głowę.

- Krystyno, a co, jeśli nasz syn zniknął? – zapytał, mrugnął do żony i dyskretnie skierował palec ku górze.

Twarz kobiety ozdobił lekki uśmiech, gdy spostrzegła, że kolekcja beretów na szafie aż za bardzo próbuje się nie ruszać.

- To całkiem możliwe, ostatnio wyglądał niewyraźnie.

- Wręcz przeźroczyście – dodał Henryk. - A co, jeśli tak naprawdę nigdy go nie było? Nigdy nie istniał? Co, jeśli nigdy nie mieliśmy syna?

- Żarty żartami, ale teraz trochę przesadziłeś...

Przerwała, bo wzgórze starych beretów aż za bardzo usiłowało nie wybuchnąć płaczem.

Henryk był matematykiem i pewnie dlatego miał dość abstrakcyjne poczucie humoru. Przez prawie godzinę pocieszał syna, który nie rozumiał dowcipu i naprawdę wyobraził sobie, że mógłby zniknąć albo nawet nigdy nie istnieć.

- Już dobrze, Kubuś, ja tylko żartowałem.

Chłopiec wziął kolejną chusteczkę i wytarł łzy.

- Nie płacz, synku. Jesteś naszym kochanym dzieckiem – powiedziała Krystyna, rzucając mężowi wściekle spojrzenie.

- Naprawdę? – zapytał Kuba.

- Tak, kochamy cię. Jak mógłbyś w to wątpić?

- Ale czy naprawdę jestem?

- Tak, jesteś kochany najmocniej na świecie!

- Ale czy jestem?

I w takich okolicznościach w życie Kuby wtargnął kryzys egzystencjalny. W urodziny. Gdyby przybył w Wigilię, może znalazłoby się chociaż miejsce dla niezapowiedzianego gościa. Kuba nie mógł przestać myśleć o własnym bycie i niebycie. Wątpliwości nie pozwalały zasnąć. Lęk odwiedzał głowę w każdej wolnej chwili. Ciekawe, czy w szpitalach ontologicznych zatrudniają pediatrów.

- Dlaczego jestem? – zastanawiał się Kuba. – Czy jestem?

I podawał kilka mniej lub bardziej sensownych argumentów.

- Jestem, bo oddycham. Jestem, bo śpię. Jestem, bo robię siusiu.

Jestem, bo zjadłem szarlotkę i mi smakowała. Jestem, bo rodzice tak mówią.

I tak wątpił, i tak myślał, aż w końcu...

- Jestem, bo... myślę!

Nie miał pojęcia, że spóźnił się o jakieś czterysta lat. Ale przecież zawsze mogło być gorzej. Dobrze przynajmniej, że nie wiedział, że nic nie wie.

Kuba po dokonaniu epokowego odkrycia, nieświadomy, że odpowiednia na nie epoka już minęła, rozpułynał się w marzeniach. Wyobrażał sobie własną osobę jako geniusza otoczonego gromadą wielbicieli. Zaczął nawet ćwiczyć rozdawanie autografów. Jakub – chłopiec, który udowodnił własne istnienie.

A rok później poszedł do szkoły i postanowił pochwalić się nauczycielce. Pani Wilczek klasnęła i powiedziała dziwne zdanie o jakimś sumie.

– *Cogito ergo sum* – powtórzyła, widząc zmieszany wyraz twarzy dziecka. – To wspaniałe, że rodzice uczą dzieci o Kartezjuszu.

– Ale ja sam... Naprawdę...

Kuba zacisnął pięści i w jednej chwili znenawidził starożytnego rzymskiego filozofa, który uprzedziwszy go, miał czelność sprzątnąć mu sprzed nosa wywiady i piski fanek. Dopiero po powrocie do domu zajrzał do encyklopedii i zdał sobie sprawę, że tak naprawdę gardzi siedemnastowiecznym francuskim myślicielem, a ten pewnie w swej bezczelności specjalnie obrał myślący pseudonim.

Jakub tak łatwo się nie poddał i kolejne lata spędzał na zgłębianiu filozoficznych traktatów. Próbował znaleźć choć jeden otwarty problem. Świętego Graala nietkniętego brudną myślą jakiegoś brodatego Greka, znudzonego Rzymianina, lubieżnego Francuza czy posępnego Niemca. Ale po kolejnych lekturach pogrążał się w coraz większym smutku. Wszystko zdążyli odkryć i to po dwadzieścia razy. Nic nowego pod słońcem. I nawet na to już ktoś wpadł.

Ograbiony z wiecznej sławy przez mędrców z minionych epok Kuba poszedł poskarżyć się ojcu.

– Tato, bo mam problem.

Henryk oderwał wzrok od notatek i spytał:

- Ktoś ci dokucza?
- Nie... to znaczy tak...
- Już ja się z nimi policzę!
- Nie, tato. Oni nie żyją.

Ojciec wytrzeszczył oczy. Kuba już chciał opowiedzieć o swoim kłopotcie, gdy jego wzrok przykuły notatki na biurku taty. Niewiele mógł z nich zrozumieć, bo większość powierzchni kartek zajmowały zawijsy przypominające podwodne żyjątko lub arabskie ornamenty. Jednak z tych kilkunastu linijek napisanych normalnym alfabetem wywnioskował, że ojciec zajmuje się mniej więcej twierdzeniem o istnieniu i jednoznaczności jakichś tam rozwiązań czegoś tam w przestrzeni blabla-ziew.

- Synku, co się stało? - spytał Henryk najczulej, jak potrafił. - Nie musisz mówić, jeśli nie chcesz. Ale pamiętaj, że jesteś naszym kochanym synkiem. Jedynym w swoim rodzaju.

- Dzięki, tato.

Kuba pobiegł do swojego pokoju, zostawiając ojca i jego ponownie wytrzeszczone oczy.

Chłopiec nalał do kubka soku pomarańczowego, puścił z głośników muzykę pop i usiadł w fotelu, po czym oddał się we władanie myśli.

- Twierdzenie o istnieniu i jednoznaczności, jakie to piękne. Niech stary Kartezjusz udławi się swoim połowicznym rozwiązaniem. Myślę, więc jestem. Ale dlaczego jestem jeden? Czy jestem jeden? Czy nie ma mnie więcej?

Kuba siedział więc w fotelu i zastanawiał się, jak najzgrabniej udowodnić swoją jedyność.

- Jestem jeden, bo ten koleś z lustra to też ja. Jestem jeden, bo mam numer PESEL. Jestem jeden, bo rodzice tak mówią.

Wiedział, że zbliża się do rozwiązania, że już za chwilę dorzuci małą cegiełkę do zmurzałego gmachu filozofii. Jakub - chłopiec, który udowodni własne istnienie i jednoznaczność.

Tymczasem w alternatywnym wszechświecie alternatywny Kuba myślał przy dźwiękach alternatywnego jazzu. Doszedł do zgoła odmiennych wniosków.

Opowiadanie opracowali:

Redakcja: Alicja Tempłowicz

Korekta: Kaja Jaroszevska, Ilona Skrzypczak, Maciej Sznurkowski

Weryfikacja: Paulina Grzybowska, Mateusz Kempa, Anna Twarowska, Anna Wybraniec


Sczytywanie: Anita Brzozowiec, Sylwester Gdela

ARABESKI NAD HEBANOWYMI SCHODAMI

Maciej Żołądowski

W sieni u wujostwa oraz na stromych, krętych schodach prowadzących na strych zawsze panowała czarna noc, która nigdy nie chciała się skończyć i która nadawała temu miejscu jakiejś tajemniczej, solennej aury. Ale to, co znajdowało się na pierwszym piętrze i należało do wujka-pszczelarza, było w ogóle poza moim i czyimkolwiek zasięgiem i – rzec by można – wymykało się zdroworozsądkowemu oglądowi rzeczy niczym niezgłębione tajniki starożytnej alchemii. Dziś wujka wśród żywych już nie ma, a mnie pozostały tylko niewyraźne, niedoumarłe wspomnienia.

Nie wiem, nie pamiętam, skąd brało się na schodach jakiegokolwiek, najwęższe nawet światło (o ile w ogóle takowe istniało), gdyż wszystko tutaj spowijał niewyraźny cień, łączący się w uścisku wiecznym z mrokami wiejskich szarówek oraz nocy, w które to mroki cień ów następnie łagodnie i niezauważenie przechodził. Zresztą za oknem niepodzielnie panowała pora niezdefiniowana, nieokreślona i nijaka, nie będąca ani jesienią, ani zimą, lecz czymś pomiędzy nimi, i przyozdabiała świat chroliczną pleśnią szaroburego zmierzchu, opryszczką wszystkich możliwych odcieni brzydoty, kutnerem nieprzejrzystości tak dalece zamgłonego pejzażu, zmarszczkami zadumanego i zasmuconego czymś nieba.



Na klatce schodowej z hebanu ściany obrastały gęstwiną wprost niezliczonych arabesek – wzorków na kiczowato wyglądającej, a na dodatek gdzieniegdzie postrzępionej i poodklejanej tapecie. Pulsujące utajonym życiem kwiatuszki coraz to głębiej zapuszczały swe sztuczne korzonki niczym rdza w niewyczerpanych pokładach szmelcu-złomu. Zwielokrotniały się harcujące bez umiaru pnącza, liche, tandetne, bardzo wykonane. Roślinom wyrastały nienaturalnie długie łodyżki, niczym węzowatym wijom zmutowane szyjki, a następnie spletały się w skłębioną dokoła kędzierzawość. Soczyste i żyłaste swe muskuły przeżyło ziele, pędzone przez dni całe po marchewkowych poletkach. A wszystko wkoło gęstniało, gęstniało, po trzykroć gęstniało. Tak oto tajemna siła sprawcza oraz materia – nawet ta szara, nieistotna i nieładna – bez ustanku wyrażała z siebie tę zieleń, a wytapetowana rzeczywistość rosła i się zwielokrotniała. I odnosiło się generalne wrażenie, że coś pod tą okładziną, a nawet w niej samej, uparcie buzuje, że coś się w tych trzewiach poniemieckich mości, że starodawny, ceglany budynek oddycha i żyje.


A był tu wyniosły gzyms, który znajdował się przy samym suficie. I gdy się wędrowało z góry na dół, jego wysokość względem klatki rosła wraz z każdym krokiem i każdym kolejnym stopniem schodów, tak, by ostatecznie osiągnąć swój maksymalny pułap na... a raczej nad partem. Jego szerokość była stosunkowo niewielka, nazbyt wąska dla stóp człowieka albo człowieczka. Na dodatek sam kształt korony mógł stanowić niejaką przeszkodę – był to mianowicie kształt pochyły, a wręcz spadzisty. Nie wyobrażam sobie więc, ażeby ktokolwiek chciał, czy nawet był w stanie, prześlizgnąć się po nim niczym akrobata stąpający po linie rozwieszanej w cyrku. To prawda, że w zakamarkach tej starej budowli wujków kryły się ciemne, małe ludy, coś jakby skrzaty-basałyki, i że mogły te żyjątka być pomocne w przesmyknięciu się na najwyższy pułap gzymsu; że ich istnienie związane było w jakiś niesamowity sposób z wytapetowanym tu ornamentalnym uniwersum. Ale prawdą jest również, że moja matka i inne osoby, które wierzyły w ich istnienie, odczuwały potworną trwożę li tylko na samą myśl o lilipuciej familii

tego domu. Ja tymczasem – pamiętam doskonale – nie mogłem nigdy odnaleźć żadnych sekretnych przejść prowadzących do innego, obcego świata albo wymiaru, a jedyny ślad po dawnym sezamie (niewiadomego zresztą przeznaczenia i pochodzenia), jaki znajdował się w staromodnej piwnicy, pozostawał zawsze jednako starannie zamurowany. Jakże więc – dedukowałem rezolutnie – jakimże sposobem ów lud plugawy a ciemny mógłby się do wujaszkowej rozwalichy przedostać? Przecież to całkowicie niemożliwe i najzupełniej niedorzeczne!

Tak rzecz skwitowawszy, więcej się skrzatami nie zajmowałem. A raz nawet miałem okazję pobrykać między piętami. Podobno nie byłem pierwszym, który zjeżdżał tyłkiem po śliskich i nagich belach hebanowych schodów, wykrzykując radosne: „ała, ała, ała”. Ciocia twierdziła, że już wcześniej po tych zimnych poręczach zsuwały się moje kuzyneczki – Magda i Iza – i że latały po wszystkich wystających ze ściany półkach, boniach oraz pasach. Wskazując palcem na niedostępny, wyniosły gzyms, przemawiała w tak okrutny sposób do mej ówczesnej, a także obecnej wyobraźni. Do dziś dnia widzę oczami chorego marzycielstwa Magdę z Izą, jak stąpają pewnym niewieścim krokiem i wbrew powszechnemu prawu ciężenia po gzymsie i suficie, a więc wszędzie tam, gdzie stąpać ja nigdy nie mogłem i mógł nie będę. O mój Boże! Tak bardzo zazdrościłem dziewczynkom ich paranormalnych zdolności!

I gdy teraz się nad tym zastanawiam, od razu przychodzą mi na myśl chaotycznie wybujałe, nieznośnie żywotne i drapieżne arabeski, których nocne wyrojenia tworzyły swoisty parasol ochronny w razie nieszczęśliwego upadku z zabójczo stromych i niebezpiecznych schodów, gzymsów, ścian i sufitów; te arabeski, pełne dużych, małych i całkiem już skartłowaciałych sekretów, które pomoc miały w razie pechowego wyślizgnięcia się z objęć delikatnie zakręconej poręczy albo ciasnego uścisku łukowatego obramowania schodów; te same, co mogły uratować czyjeś życie w przypadku niefortunnego spłynięcia tego kogoś wzdłuż namalowanej, albo raczej wydrukowanej, łódzki perskiego kwecia.

Ale Magda z Izą były ponad to wszystko. I nic absolutnie stać im się nie mogło, gdyż bezgranicznie zaufały potężde tego jakże dziwnego



miejsca. Uwierzyły, niczym naiwne wróżki młodociane, w istnienie zaczarowanej Nibylandii. Uznały za właściwe poddanie się arabeskowej opatrności – pękowi oczu wszechwidzących i uszu słyszących wszystko.

Ja nie odnalazłem w sobie podobnej wiary w rzekomo opiekuńcze siły niby-nocy, pełnych zwodniczych arabesek, skomplikowanych, mrocznych labiryntów, ziejących arktycznym tchnieniem zaułków, wymajaczonych z sennego koszmaru zakamarków. I na wszelki wypadek nigdy już nie ośmieliłem się bawić u wujów na schodach ani nawet w sieni w cieniu niedogastej umbry.

Opowiadanie opracowali:

Redakcja: Łukasz Skoneczny

Korekta: Kinga Grodzka, Kaja Jaroszevska, Magda Żurawska

Weryfikacja: Agata Bisiecka, Anita Brzozowiec, Damian Szandecki, Anna Twarowska

Sczytywanie: Sylwester Gdela

PREKURSORIUM

Patrycja Paliczka

Kostka spuchła na tyle mocno, że nie mogłem na niej stanąć. Każdy kolejny ruch przyplacałem jeszcze większym, rwącym bólem, od którego przewracało mi się w żołądku. Od wielu godzin trawiła mnie tak wysoka gorączka, że nie umiałem już odróżnić jawy od snu. Czasem widywałem ich wszystkich. Przychodzili wtedy, każdy z innym zarzutem wobec mnie, i pokazywali rany. Te, które sami sobie zadali, oraz te, których autorem byłem ja. W tym momencie nie zostało już czasu na wymówki; musiałem spojrzeć prawdzie w oczy i przyznać, że aby przeżyć, robiłem różne, często niesprawiedliwe i okropne rzeczy.

Zmiany, jakie zachodziły w moim organizmie, nie przerażałyby mnie tak bardzo, gdybym był na nie wcześniej przygotowany. U każdego z nas przemiana przebiegała inaczej. Jakiś wyszkolony pracownik powinien mnie uprzedzić. Czasem pojawiały się kły, czasem lwie pazury, innym razem czerwone oczy, smocze łuski czy piranie zęby. Do wyboru, do koloru. Jak widać, naukowcy z tego instytutu robili wszystko, by nie musieć ograniczać ani siebie, ani tym bardziej nas. Zadałem im kiedyś pytanie, czy są zadowoleni z naszych postępów; zaciśnięte usta i politanie w ich oczach musiały mi wystarczyć za odpowiedź. Chyba powinienem wtedy zacząć się bardziej starać. Pewnie mogłem zrobić to w chwili, gdy jeszcze zależało mi na tym wszystkim. To jednak stare dzieje...

Już mi nie zależy.

Kto by pomyślał, że człowiek żyjący w dwudziestym czwartym wieku jeszcze to potrafi...

Ale, ale! Ta historia nie byłaby dobrze opowiedziana, a przede wszystkim kompletna, gdybym zaczął ją snuć w tym momencie. Nie, żeby wszystko stało się jasne, muszę zacząć od początku.

A dokładniej od dnia, w którym, jak mi się wtedy wydawało, się urodziłem.

Nie posiadałem żadnych wspomnień z najmłodszych lat, co było czymś normalnym, gdyż żaden człowiek ich nie posiada. Niejasne przebłyski naszych nieuporządkowanych wówczas działań pojawiają się w wieku dopiero kilku lat. Wtedy to wszystko zaczęło wyglądać ze wszech miar dziwne. Bo widzicie, nie chodziłem wcale do takiej zwyczajnej szkoły, ale specjalnej placówki dla geniuszy. Tak, wiem, jak okropnie to brzmi. I mogę zapewnić, że równie okropne było w rzeczywistości. Trzymano nas z daleka od wszystkiego, co definiowano jako normalne. Nie pozwalano nam mieć styczności z żadnym tego typu obiektem; nieważne, czy nieożywionym, zwierzęcym czy ludzkim. Wszystkie rzeczy, które dostawały się do naszych rąk, zostały wcześniej dokładnie nazwane, gruntownie przebadane, pozbawione cech, mogących nam czymś zagrozić, zafoliowane i dostarczone w bezpieczny dla nas i dla dostawców sposób. Mówiąc dużo prościej: nie miałem, wraz z innymi dziećmi, w życiu zbyt wielu uciech. A te, które nam zapewniano jak się później przekonałem, nawet nie zasługiwały na taką nazwę. My, to znaczy mała grupa żyjąca w tym zamknięciu od momentu stworzenia, postanowiliśmy spróbować czegoś innego, zupełnie nowego. Niezbyt rozsądnie, jak się później okazało...

Kto z nas mógł przypuszczać, że wylądujemy w nienadających się do życia miejscach, zdani wyłącznie na własne siły, zupełnie nieprzystosowani do nowych warunków, w których kazano nam egzystować.

Do tej pory byłem, jak i wszyscy inni, karmiony specjalnie przygotowanym do moich potrzeb daniem. Przydzielano mi ubrania o różnych krojach, zastosowaniach i barwach, obliczano codzienne zapotrzebowanie

na sen – i zawsze dbano, bym zażywał go dokładnie tyle, ile wyliczono. Badano mnie po przebudzeniu, punktowano, co powinienem zmienić, bym czuł się jeszcze lepiej, uczono dziwnych rzeczy – takich jak bycie posłusznym matce i uległym wobec ojca – a także bycia zżyтым z resztą dzieci mieszkających w tym samym domu, dobrym dla zwierząt i miłym dla sąsiadów.

Nie było żadnego żmudnego wkuwania. Całą wiedzę podawano nam na tacy; w małych, złotych pigułkach, które należało łykać trzy razy dziennie, popijając szklanką przegotowanej wody lub ciepłego mleka. Nie wolno nam było wychodzić na zewnątrz ani wchodzić w kontakty z innymi ludźmi – wszystko z powodu zarazków. Bezpieczna odległość, w jakiej mogłem swobodnie rozmawiać z pozostałymi, miała długość wyprostowanej ręki. Zabraniano nam podchodzić bliżej, wykonywać skomplikowanych gestów czy używać trudnych słów. Miało być prosto, miło i przyjemnie. Tak, miało. Czy ktoś wam już mówił, że piekło dobrymi chęciami jest wybrukowane?

Jak się w to wszystko wkopałem? Co się stało, że siedzę tu sam jak palec i zamiast drzeć ze strachu przed tym, co mogłoby mnie spotkać, nie posiadam się ze szczęścia, że jestem wolny, niczym nieskrępowany i mogę oddychać naturalnym powietrzem?


Przynajmniej do czasu, gdy nie odwróciłem głowy.

Wszystko zaczęło się pewnego deszczowego poniedziałku. Skąd wiem, że był deszczowy? Wprawdzie nie pozwalano nam wychodzić, nalegano też, by nie pytać o to, co znajduje się na zewnątrz, ale w tamtym czasie mieliśmy na to już swoje sposoby.

Pewnie nie będę za bardzo oryginalny, gdy powiem, że nienawidzę poniedziałków. Tak, wiele osób ich nienawidzi. Jednak moja niechęć miała nieco inne źródła. Właśnie w poniedziałek zrobiono nam To po raz pierwszy. Wszystkich nas otruto, żeby sprawdzić, jak zareagujemy.

Nie wiem, które z nas zaczęło rzygać jako pierwsze. Po godzinie wymiotowali już wszyscy.

Wieczorem sytuacja była tak dramatyczna, że postanowiono sięgnąć po nadzwyczajne środki; ani się obejrzałem, jak zostałem



poprowadzony długim i jasno oświetlonym korytarzem wprost do przezroczystej kabiny kolejki.

Szybko zauważyłem, że porusza się ona poziomymi tunelami wydrążonymi w ziemi.

Zawieziono nas w miejsce, którego nigdy wcześniej nie widziałem. Pomieszczenie podzielono na trzy oddzielne strefy. W pierwszej znajdowały się sięgające sufitu szafki, na których poustawiano różnego rodzaju flakoniki. W drugiej przy okrągłym stole grupa naukowców pracowała pochylona nad mikroskopami. Pewnie próbowali odkryć nowe szczepy bakterii, stworzyć szczepionki na wciąż mutujące wirusy lub robili jeszcze coś innego. W trzeciej części, przeznaczonej – jak się wkrótce okazało – dla specjalnych przypadków takich jak my, ustawiono trzy rzędy szpitalnych łóżek. Przy każdym z nich stał stojak z kroplówką i specjalistycznym sprzętem, którego funkcji mogłem się tylko domyślać.

Przetrzymano nas tam wbrew woli aż do samego wieczora. Pozwolono wstać dopiero wtedy, gdy zniknęły najniebezpieczniejsze objawy.

Z tymi ostatnimi, mniej groźnymi symptomami choroby poradziło sobie w stary sposób. Postanowiono przeczekać. Niektórzy wyzdrowieli całkiem szybko, inni męczyli się trochę dłużej, a kilku chuderlaków po prostu umarło.

Widać pewnym osobom zależało na tym, by najsłabsze jednostki zostały wyeliminowane.

W wyniku tego traumatycznego doświadczenia zrobiło się u nas naprawdę cicho. Nikt nie próbował się wychylać, wszyscy grzecznie wykonywali polecenia.

Cztery tygodnie później powtórzyło się to samo, tyle że teraz leciało dołem. Wtedy stwierdziłem, że mam tego wszystkiego serdecznie dosyć i muszę znaleźć wyjście z tej niewygodnej sytuacji.

Zacząłem pytać tych, którym mogłem ufać, ale przede wszystkim uważnie słuchać głosów z otoczenia.

Tak, słuchanie było w moim położeniu bodaj najważniejsze.

Chciano zrobić z nas mutantów, przemocą dostosowywano do panujących warunków. Tylko że...

Coś poszło nie tak, nie uwzględniono skutków ubocznych przeprowadzanego wówczas procesu i w efekcie stworzono istotę o nieznanym potrzebach i możliwościach. Teraz próbowano to wszystko zatrzymać, a sam proces odwrócić na tyle, na ile było możliwe. Przeprowadzano na nas eksperyment za eksperymentem; niektórzy zaczęli myśleć – a ja skłaniać się do przyznania im racji – że będzie to trwało do czasu, aż staną z nas dwie niewielkie, sztuczne komórki, które będą rażone prądem i poddawane badaniom tak długo, dopóki proces się odwróci.

Czyli prawdopodobnie do naszej śmierci. Może i nie byliśmy ludźmi, ale mimo to żaden z nas nie zamierzał ginąć!

Trzeba było działać, właśnie teraz, kiedy jeszcze był na to czas.

Umieram. Zaledwie kilka minut temu zdałem sobie z tego sprawę. Wy też powinniście! Skoro ja jestem na tyle odważny, by się do tego przyznać, choć cholernie się boję tego całego procesu, wy musicie być na tyle silni, by przyjąć to do wiadomości – łącznie z faktem, że niczego nie da się już w tej sprawie zrobić.

W mojej głowie zaczęły się pojawiać dawno wyparte stamtąd wspomnienia...

Kiedyś, w bardzo dawnych czasach, miałem na imię Harvey. Mieszkałem na przedmieściach, w domu z rozległym ogrodem, na którego terenie obowiązkowo mieścił się basen w kształcie nerki, szopa na narzędzia i buda, oczywiście wraz z psem. Ojciec bardzo sobie cenił te rzeczy. Dokładnie w tej kolejności. I co się stało?

Zaatakowano mnie w momencie, gdy najmniej się tego spodziewałem. Owszem, słyszałem plotki o ginących dzieciach. Wmawiano, że mi to nie grozi, że zabierano z domów tylko te niedostosowane. Nie miałem

wtedy pojęcia, co to właściwie znaczy. Staralem się żyć tak samo, jak do tej pory, i niczego nie zauważać. Tymczasem dzień po dniu po kolei znikali wszyscy moi przyjaciele. Co do jednego.

Teraz już wiem. Wszyscy jesteśmy niedostosowani. Bo tak naprawdę żadne z nas nigdy się nie urodziło. Pobrano odpowiednie rzeczy od naszych rodziców, nie pytajcie mnie jakie, bo tego nie wiem, porobiono badania i stwierdzono, że wszyscy ludzie są bezpłodni.

Postanowiono temu przeciwdziałać; stworzono odpowiednie miejsce, gdzie, jak to mówiono, chciano i potrafiono im pomóc. Potem, po zakończeniu procesu, oddano nas na jakiś czas rodzicom. Podczas jego przebiegu popełniono wiele poważnych błędów, które wpłynęły między innymi na poprawność wyników i naszą społeczną szkodliwość. Zabierano nas z domów, choć nie zamierzano tego robić wcześniej, i próbowano naprawić albo zniszczyć. To, że jeszcze żyję i mogę snuć tę nieco chaotyczną opowieść, to prawdziwy cud. Albo zasługa faktu, że ciągle jestem pod wpływem leków, które zdążyłem zażyć, nim zdecydowałem się stamtąd wynieść. Z tego całego Prekursorium.

Żadne z nas nie znało prawdziwej nazwy, więc wymyśliłem własną. Wcale się nie dziwię, że się nie przyjęła.

I nie wiem, jeśli mam być szczery, co boli mnie bardziej: spuchnięta kostka czy wypływające z mojego żołądka masy krwi. Kto mnie tak załatwił? To dobre pytanie. Nie zamierzam ułatwiać wam zadania, podając jego imię. Musicie wiedzieć tylko tyle, że była to osoba, po której, jak to zwykle bywa, najmniej się tego spodziewałem. I byłem wręcz zdumiony, że zdołała to zrobić, stojąc ze mną twarzą w twarz.

Jak zdołałem uciec? To już znacznie prostsze pytanie. Każde miejsce, do którego się wybieram, ma wiele zarówno słabych, jak i mocnych punktów. Od dawna grałem w tę grę, sam wymyśliłem jej zasady i rzeczy, jakie miała badać. Na początku było mi naprawdę ciężko. Czasem miałem ogromne wątpliwości, czy zgadłem, ale nie wiedziałem, jak to sprawdzić.

Zdarzało się, że zostawiano mnie na jakimś poziomie na wiele dni. Nazywano je poziomami, bo właściwa nazwa pochodziła od łacińskiego słowa. Takiego kompletnie nie do wymówienia. Tamtego dnia

znalazłem się na piątym czy szóstym poziomie, jak w grze komputerowej. Ze wszystkich stron otaczały mnie ściany. Dobrze, że nie cierpiałem na klaustrofobię, choć muszę przyznać, że czułem się trochę nieswojo, przebywając przez dłuższy czas w tym pomieszczeniu. W ciele miałem sygnalizator informujący, kogo trzeba poinformować, o moim aktualnym położeniu. Zadbano również o badanie innych funkcji, w tym pracy serca. Dano mi do ręki przedmiot, którego nazwy absolutnie nie pamiętam. Nie dałbym głowy, ale to był chyba pręt. Przekazano, że mam trzy dni, by się stamtąd wydostać przy pomocy otrzymanego narzędzia i własnej głowy. Sprawdzano w ten sposób moją zaradność i pomysłowość, choć nie miałem pojęcia, czemu takie ćwiczenie mogłoby służyć.

To znaczy wtedy nie miałem, bo po kilku miesiącach spędzonych w Prekursorium coś jednak zaczęło mi świtać w głowie. Być może istniała jeszcze jedna opcja, między dwoma pozostałymi: wyleczyć albo zabić. Być może chcieli nas wykorzystać do czegoś innego. Być może byliśmy im potrzebni...

Nie zamierzałem czekać, by się co do tego całkowicie upewnić. Zwiąć – oto najlepsze, co w tej sytuacji mogłem zrobić.

A w tamtym momencie nadarzyła się jedyna w życiu okazja.

Schowałem pręt do kieszeni. Na razie do niczego nie mógłbym go wykorzystać.

Dotykałem cegieł opuszkami palców; najpierw powoli i ostrożnie, nie mając pojęcia, co się może zdarzyć, z upływem czasu jednak coraz śmielej, aż w końcu pchałem je na tyle mocno, na ile starczyło mi sił. Okazało się, że dobrze zrobiłem. Dotykając ich w odpowiedniej kolejności, sprawiałem, że powoli cofały się, tworząc coś na kształt bardzo niskiego korytarza, w którym dałem radę się jedynie przeciskać się na czworakach. Na początku nic nie utrudniało mojej wędrówki. Trochę później zaczęły się schody, dosłownie takie, po których musiałem się czołgać, objijając sobie plecy i brzuch o każdy następny stopień. Kiedy ta tortura dobiegła końca, zaraz nadeszła nowa. Jakby mi jeszcze było mało. Cegły uchylały się, a zza nich nadlatywały w moją stronę różne

rzeczy; piekielnie ostre noże, które wbijały mi się w ciało, tworząc głębokie rany, strzałki zatrute różnymi toksynami, gaz, mgła...

Zauważyłem, że ich wyobrażenia w doborze środków przeznaczonych do zadawania bólu nie miała żadnych granic.

Gdy w końcu zmęczony, brudny i poraniony wyszedłem na zewnątrz, on zastąpił mi drogę. Nie mogłem się mu nawet dokładnie przyręczyć, bo wbił mi wypełnioną czymś strzykawkę prosto w brzuch i uciekł. Chwilę później z moim ciałem zaczęły dziać się naprawdę dziwne rzeczy. Najpierw obrosłem ze wszystkich stron futrem, bardzo mocno i bardzo szybko. Potem poczułem, że słońce, któremu do tej pory jakoś nie miałem nic do zarzucenia, zaczyna mi przypalać skórę w kilku miejscach na raz. Żalowałem, że wybiegłem stamtąd z gołą głową, bez chusty czy nawet okularów. A potem... dopiero wtedy naprawdę zacząłem się bać myśli przychodzących mi do głowy. Na przemian odczuwałem potrzebę, a to żeby chleptać świeżą, jeszcze gorącą, pochodzącą z samych żył krew, a to że chętnie wgrzyłbym się w ludzkie mięso. A im dalej, tym gorzej!

To, co wirowało mi przed oczami, to były nie tyle skrzydła w dwóch różnych kolorach, białe i czarne, co pojedyncze pióra, unoszące się wysoko w powietrzu. A ja, wiszący jak na linie, gdzieś pośród nich.

Zacząłem się zastanawiać, jakiego rodzaju hybrydą jestem. Nigdy tak naprawdę nie byłem człowiekiem, dopiero teraz to sobie uświadomiłem. Ścierało się we mnie wiele obcych sił. Jedna nie zamierzała ustąpić miejsca drugiej. Ze zmęczeniem i rezygnacją czekałem na wynik wewnętrznej walki, pojmując, co się działo z ciałami innych dzieciaków, kiedy ginęły.

Bo to, że umierałem w tej właśnie chwili, było dla mnie aż na zbyt oczywiste. Miałem zaledwie dwie opcje. Jedna gorsza od drugiej. Pierwsza oznaczała śmierć ostateczną, druga odrodzenie w innej postaci. Wtedy zrozumiałem, skąd kilka lat temu na ulicach w naszym mieście oraz na terenie Prekursorium było tylu odmieńców, ludzi lubiących przebywać wyłącznie we własnym towarzystwie. Śmiano się z nich i nazywano dziwakami. Nie wiedziano, jakie skrywają w sobie tajemnice.

Tkwiła w nich obawa, że po przemianie ktoś znowu spróbuje ich zabić i to na wiele różnych sposobów. I tym razem być może mu się uda. A jeśli nawet nie, to zapewni sobie i kolegom nie lada atrakcje. Co z tego, że cudzym kosztem...

Byłem świadkiem jednego z wielu takich, jak mogłem się tylko domyślać, przykrych przypadków. Chłopiec mniej więcej w moim wieku, choć trudno mi to określić, nie posiadając metryki urodzenia, stał w drzwiach, potrącany z obu stron przez wchodzące do sali dzieci. W pewnej chwili lekko się zachwiał i popchnięty przez kogoś „życzliwego” runął na podłogę niczym ciężki głaz. Ze wstydem przyznaję, że byłem jednym z tych, którzy się z niego śmiali.

Nie tylko mu wtedy nie pomogłem, ale dodałem też swoje trzy grosze, depcząc mu po dłoni, choć miałem świadomość, że mogłem przejść obok. Z łatwością bym się tam zmieścił. A później zrobiłem coś jeszcze gorszego – wylałem mu to, co akurat miałem na talerzu, prosto na głowę.

Agresja była naszą formą obrony; obawiałem się tego, co się ze mną stanie, gdy zacznę się zmieniać, więc atakowałem tych, którym już się to przytrafiło. Strach, którego odbicie widziałem też w oczach innych dzieciaków, dawał mi energię do działania. Tak mi się to spodobało, że zaczynałem każdy kolejny dzień od poszukiwań nowej ofiary i wyżycia się na niej za to, że obrazuje sobą wszystko, co czeka każdego z nas. Nie chciałem tego. Żadne z nas nie chciało.

To stare dzieje; podobno kiedy nadchodzi koniec, myśli się o tym, co było przedtem, prawie na samym początku. Mogłem to potwierdzić...

Kim się stawałem? Rzuciłem okiem na swe ciało. Bałem się odpowiedzi. Cały czas pozostawało obrośnięte gęstym futrem, a mimo to było blade i kompletnie lodowate. Przejechałem palcami po zębach. Chwilę później gorzko tego pożałowałem, wyczuwając ostre kły. W tym samym momencie sierść i, o zgrozo, pojedyncze długie pióra – nie sądziłem, że zobaczę je gdzieś indziej niż w grze komputerowej – zaczęły mi wypadać. Tym samym przypieczętowano mój los. Spuchnięta kostka nie miała tu już nic do rzeczy. Nie pamiętałem nawet, jak się tego urazu nabawiłem.

To musiało się zdarzyć kilka godzin wcześniej, kiedy biegłem jak szalony, próbując się wydostać z tego piekła. Chyba nie udało mi się trafić na któryś ze schodków z powodu zbyt szybko wyrastających skrzydeł. Nie mogły być za wielkie; zaledwie dwa małe punkciki, symetrycznie ułożone po obu stronach pleców, ale musiałem je jakoś wyczuć. Być może przesunąłem w którymś momencie plecami po ścianie albo podrapałem się po nich ręką i to wzbudziło we mnie taką panikę, że nie patrząc i nie uważając już na nic, pogałem prosto przed siebie. Do maleńkiego, lecz szybko rosnącego w oczach światła oznaczającego wyjście. Oznaczało ono dla mnie tylko jedno – tak długo wyczekiwana wolność. I tu nie obyło się bez rozczarowań – trafiłem w miejsce, które nie do końca mi odpowiadało. Doczołgałem się do brzegu pobliskiego jeziora. Uważnie przyjrzałem się chłopcu spoglądającemu na mnie z jego wnętrza. Za nic nie mogłem go poznać. To po prostu nie mogłem być ja. Zacisnąłem powieki, a kiedy je ponownie otworzyłem, źrenice były już czerwone.

Czułem głód. A jedynym, czego potrzebowałem, była krew.

52

Opowiadanie opracowali:

Redakcja: Sylwester Gdela

Korekta: Kinga Grodzka, Kaja Pudełko, Ilona Skrzypczak

Weryfikacja: Joanna Gasińska, Paulina Grzybowska, Ilona Skrzypczak, Anna Twarowska

Sczytywanie: Patrycja Pancerz

TRUDNO UWIERZYĆ, ŻE NIC NIE ZOSTAŁO

Michał Puczyński

Trudno uwierzyć, że nic nie zostało.

Z taką myślą schodzi do zimnej, wilgotnej piwnicy i przeciska się, i kopie, kopie i przeciska ostatkiem sił z gasnącą w oczach nadzieją. Dziura jest ciasna, czarna, śmierdząca, a co gorsza: przerażająco pusta.

Nie poddaje się jednak. Coś mogło zostać, więc kopie i kopie, wciśka się głębiej.

Głębiej.

Głębiej.

Głębiej.

Jeszcze głębiej.

Wciąż niewystarczająco głęboko. Rozgarnia więc ziemię gołymi dłońmi, poszerza tunel i pełźnie – a paznokcie już zdarte, a kościste palce krwawią, a głód doprowadza żołądek do wrzenia. Z wychudłego, zwiędłego ciała wycieka resztką życia.

Trudno uwierzyć, że nic nie zostało.

Nie było w nim już nic z Cebe, małego Chociebąda Brzezstryka, który wielkimi oczami i z otwartym dzióbkiem patrzył, jak pod kołami ciągnika znika bura wstęga pola. Tę chwilę, całą pierwszą przejażdżkę, gdy siedząc na twardych kolanach ojca, zaciskał rączki na kierownicy i sam jeden zmuszał traktor do posłuszeństwa, zapamiętał każdym zmysłem. Wówczas czuł do tatki bezgraniczną miłość. Dni były rześkie i wypełnione szczęściem. Cebe wiedział, że to się nie zmieni.

Niedługo później ojciec skaził go przeznaczeniem i uciekł, sprawiając, że dla Cebe świat zmałał do rozmiarów piwnicy. Liczyła się już tylko zamieszkała w niej zmora. Ojciec nazywał ją powołaniem. Dla chłopca była to kupa obrzydliwości, od której nie mógł uciec.

Wspominał dawne czasy, pojąc się zapachem nadchodzącej burzy. Burza była ciekawa; była jak odwiedziny. Na polu, na którym siwiejący Cebe sam jeden pracował od dziesiątego roku życia, nie przysiadły nawet wygłodniałe kawki. Tylko deszcz jeszcze nie nauczył się go omijać.

Zlął z siodła starego traktora i poprawił spodnie zjeżdżające z wychudzonych bioder. Czas zjeść. Wkrótce wyruszy do miasta i długo nie będzie mógł się posilić. Przed nim ciężka próba: sprawić dobre wrażenie na kobiecie, którą znał tylko z listów. Musiał ubrać się w najlepszy uśmiech, na jaki było go stać. Nie mógł zawieść.

Cebe nie szukał miłości, lecz pomocy, gdyż wiedział, że niedługo nie będzie w stanie sam zajmować się zmorą. Marzył, by od niej uciec, tak jak zrobił to jego ojciec czterdzieści lat temu. W przeciwieństwie do niego był jednak silny i po dziś dzień wypełniał świętą powinność. A może właśnie był słaby. W końcu nie potrafił przeciwstawić się poczuciu obowiązku, które ciążyło mu na plecach od dzieciństwa.

Najnowsza kandydatka na żonę miała na imię Irenka. Wyciął ją z działu ogłoszeń w gazecie, tak jak wszystkie poprzednie. Okazała się gruba i zaniedbana. Choć unikała jego spojrzenia, to nie robiły jej różnicy wiecznie odstające włosy, podniszczony garnitur czy policzki sterczące

jak wielkie białe guzy przy każdej próbie uśmiechu. Wzrok miała zamglony desperacją – najlepszym, czego Cebe mógł oczekiwać. Tylko kobieta rozpaczliwie samotna potrafiłaby go zaakceptować, a gdyby do tego doszło – kto wie? Może nawet zdradziłby Irence sekret, który zamieszkał w jego piwnicy.

Może kiedyś. Po latach, gdy oboje już do cna sobą przesiąkną. Nie będzie się jednak spieszyć. Dwa razy popełnił ten błąd i żadnej z desperatek nie widział od tamtej chwili.

– Nawet nie ruszyłeś obiadu – zauważyła Irenka i zaczęła grzebać w jego talerzu. – No już, bez grymasów. Jesteś tym, co jesz, kochaneczku!

Nawinęła wstążkę makaronu na widelec i przystawiła mu do twarzy. Cebe dzielnie wziął jedzenie do ust. Zmusił się do przełknięcia, obficie popił wodą, przeprosił i wstał od stołu, po czym zwymiotował do sedesu, dygocząc z bólu oraz obrzydzenia. Wreszcie doszedł do siebie i drżał już tylko z gniewu. Głupia krowa. Listownie nalegał na spacer w parku, może kino, ale Irenka uparła się na wspólny obiad. Gdy tylko dojrzał na dworcu jej zwalistą postać, wiedział, że bez posiłku się nie obejdzie.

Trudno. Musiał wziąć się w garść.

Wracał do domu, z wycieńczenia powłócząc nogami. Od dwóch dni nie miał nic w ustach. Gorączkowo przekręcił klucz w zamku i – skrzyp-skrzyp-skrzyp – chwiejnym krokiem szedł po butwiejących piwnicznych stopniach.

Pośpiesznie, nawet nie zapalając światła, wymacał kleiste mięso. Czule zareagowało na dotyk: pulsując, opłotło mu dłoń. Wgryzł się w nie i wtedy szarpnęło, ale przytrzymał je ze wszystkich sił. Jadł do syta, mlaszcząc, zlizując z palców mdlące soki i z satysfakcją słuchając, jak chrząstki zgrzytają w zębach.

Trudno uwierzyć, że nic nie zostało.

Żadnych emocji.

Trudno uwierzyć, że nic nie zostało

56

Nie potrafił zdobyć się na cień wzruszenia, gdy przekupiony włóczęga w sutannie udzielał im ślubu pod drzewem, pod którym Cebe, jak przekonywał Irenkę, przeżył najwspanialsze chwile dzieciństwa. Jeśli czuł namiastkę czegokolwiek, to była to ulga, ponieważ raz z nim związana kobieta nie mogła już uciec. Dziecko było kwestią czasu.

Przez kilka dni wspólnie siadali do posiłków, więc Cebe musiał ukradkiem pozbywać się zawartości talerza. Wreszcie zmęczyło go to i przestał udawać, że je, a ona zaczęła udawać, że tego nie zauważa. Piwnicy unikała instynktownie, być może czując zamknięte tam zło, i nigdy nie prosiła o klucze. Tym sposobem wszystko ułożyło się samo.

Skrzyp-skrzyp-skrzyp. Gdy zasypiała, grzejąc się w niebieskim świetle telewizora, Cebe schodził do wilgotnej ciemnicy, przyświecając sobie latarką. Słowa ojca dźwięczały mu w głowie:

– Przyszedł do mnie raz pan, twoja matka już dawno odeszła. Ten pan miał siwą brodę i powiedział, że powierza mi obowiązek, a potem zszedłem do piwnicy i zobaczyłem dziurę. W tej dziurze było coś bardzo straszego.

Położył małemu Cebe dłoń na ramieniu i poprowadził w dół, tuk-tuk-tuk, po schodach, które wtedy jeszcze nie skrzypiały. Chłopiec nie miał powodów do obaw, bo przecież prowadził go tatuś – król świata. Strach nadszedł, gdy blask świecy dosięgnął odległego kąta, a twarde palce ojca boleśnie wpiły się w bark. Cebe, choć wierzgał, nie potrafił uciec.

Teraz bardziej przerażało go samo wspomnienie niż potwór. Do niego już przywykł. Widział w nim towarzysza. Im dłużej karmił się jego ciałem, tym trudniej było mu przełykać zwykłe jedzenie, aż zaczął żyć wyłącznie o zmorze i wodzie.

Jego piękna, znenawidzona zmora. Pogłaskał ją światłem latarki – delikatnie, bo wiedział, że tego nie lubi. Wypełzała z dziury w podłodze, niestrudzenie próbując wydostać się na powierzchnię, ale robiła to wolno i niezgrabnie.

Była ogromnym, ślamazarnym robakiem; miękką i obłą plątaniną palców, oczu, ust, jelit oraz innych narządów. Bezludną, przetrwoną i wydaloną z piekła ludzką masą lub czymś, co pragnęło być ludzkie.

Ojciec opowiadał mu, jak walczył z nią przez całą noc, bijąc, tnąc i strasząc ogniem, ale odrąbane od ciała fragmenty nie umierały. Schwytyany przez palczaste macki, wijące się włosy i pęki języków, odgryzał kawałki mięsa – przetykając, gdy brakowało tchu – aż licho dało za wygraną. Rozmyślał później, zmartwiony, czy zjedzone części potwornego wija znajdą drogę powrotną, wyjdą ustami, uchem, czy przewiercą go od środka, ale mijały dni i nic się nie działo. Uświadomił sobie wtedy, że jego powinnością jest zjedzenie zmory w całości. Ponieważ tej misji żaden człowiek nie spełniłby w ciągu jednego życia, obarczył nią ukochanego potomka.

Cebe z pokorą zaakceptował wyznaczone mu zadanie i nawet po ucieczce ojca co wieczór schodził po dziewięciu drewnianych stopniach. Zjadał, ile tylko mógł, bo wiedział, że w ciągu dnia robak wypełni o kolejne pięć centymetrów. Nie mógł pozwolić mu uciec. Żył ze świadomością, że walka o ludzkość toczyła się nie w stolicach i metropoliach, ale w jego piwnicy, a pomiędzy zmorą a bożym światem stał tylko on sam.

Trudno uwierzyć, że nic nie zostało.

Ani krzty determinacji, którą czuł przez całe życie. Odkąd jego dni rozjaśniał synek, mały Niemst Niegodoma, Cebe przestał akceptować swój los – wciąż jednak nie potrafił mu się sprzeniewierzyć. Przeznaczenie wczepione w jego bark, jak zimne, kościste palce ojca, trzymało i nie pozwalało uciec.

Nini rósł silny i zdrowy i był pierwszym w życiu Cebe powodem do dumy. A jednak starzec odczuwał ból na widok jego zabaw, bo wiedział, że niedługo będzie musiał ukrócić beztrioskie dzieciństwo.

Ale jeszcze nie.

Później.

Trudno uwierzyć, że nic nie zostało

Na razie mały niech się cieszy, ganiając gawrony, które po raz pierwszy od pół wieku usiadły na polu, przywiedzione tu chyba śmiechem i odgłosami zabawy. Gdy Cebe tak patrzył na Niniego, wspomnienie jazdy ciągnikiem powróciło silniejsze niż kiedykolwiek. Syn był już wystarczająco duży, by poczęstować go piwnicznym mięsem, ale...

Później.

Największą przyjemność sprawiały Cebe rozmowy. Maluch miał mnóstwo pytań. Prosty, głupi – lecz ojciec nigdy nie odmawiał mu odpowiedzi. Choć starzec nie potrafiłby tego ubrać w słowa, miał wrażenie, że objaśniając synowi świat, przelewa w niego cząstkę siebie i ratuje pozostałe w strachu na wróble resztki człowieka. Każdego dnia kolejny skrawek znajdował ocalenie w młodym ciele i dlatego Cebe odwlekał moment zejścia do piwnicy. Czuł się jednak spróchniały i zmęczony, trzeszczał w stawach i nie potrafił dotrzymać kroku sześciolatki, który energię czerpał chyba z powietrza. Wreszcie będzie musiał się poddać. Przelać wolę swojego ojca na swojego syna. Skazić go powinnością...

PÓŹNIEJ!

Obok tego wszystkiego, gdzieś na krawędzi wzroku, majaczyła Irenka, którą Cebe przestał zauważać dawno temu. Kosztowała go ostatnie pieniądze z portfela, ale nikomu nie wadziła i przydawała się, gdy należało przypilnować malca. Mogła sobie być. Nie miał wobec niej żadnych planów.

Nie mógł uwierzyć, że nic nie zostało.

Ciało rozpuściło się razem z kośćmi, po Irence ani śladu. Cebe strumieniem z prysznica słuwał różowy miąższ i patrzył, jak kręci się i znika w odpływie.

Nie chciał, by tak skończyła, ale sama była sobie winna. Wstała w środku nocy z kanapy, obudzona głośną reklamą, i idąc w stronę kuchni, zainteresowała się odgłosami z piwnicy. Na drzwiach po raz pierwszy nie zobaczyła ciężkiej kłódki.

Skrzyp-skrzyp-skrzyp.

Cebe nie słyszał, jak skrzypiała przez całą drogę w dół, zbyt skąpiony na walce z wijącym się mięsem. Był tego dnia wyjątkowo głodny, a zmora bardziej niż zwykle stawiała opór, kiedy ją pożerał. Dotarł do niego dopiero piskliwy krzyk. Gdy się obrócił, zobaczył Irenkę zamarłą z przerażenia.

Wyszarpał się z uścisku przeraźliwych macek i odruchowo, zupełnie nie myśląc czemu, złapał za leżącą w kącie łopatę. Wziął zamach.

Później doszedł do wniosku, że zrobił to ze wstydu, zbyt dobrze wiedząc, jak wyglądał przyłapany na pożeraniu piekielnej maskary.

No już, bez grymasów. Jesteś tym, co jesz, kochaneczku!

Trudno. Musiał wziąć się w garść. Przyszło mu to z łatwością, bo teraz Irenki nie było jeszcze bardziej niż dotąd.

Rozpuścił ciało, ale gdy mieszał resztki w żeliwnej wannie, różowa breja przelała się na podłogę. Założył gumowe rękawice i ostrożnie zagarniał ścierką i wyżywał, zagarniał i wyżywał, zbierając żonę do wiaderka. Wyleje ją potem na pole. Małemu powie, że uciekła; po paru miesiącach nie będzie o niej pamiętał.

Cebe zamarł, patrząc w przestrzeń na wskroś, przez wspomnienie własnej matki. Ojciec też powiedział, że uciekła.

Ale przecież nie miał powodu, by kłamać.

Starzec odzyskał spokój ducha i znów zabrał się do pracy.

Trudno uwierzyć, że nic nie zostało.

Ani jednej pamiątki po synu poza zmiętą pościelą. Nocą Nini spakował się i uciekł, zabierając wszystko, co do niego należało. Nie miał wiele – trzy pary ubrań, samochodzik i książeczkę – więc gdy każdej z tych rzeczy zabrakło, Cebe poczuł rozdzierającą pustkę. A zarazem ulgę, że syn miał odwagę uciec od horroru wciskanego mu do gardła, bo na pewno niełatwo przyszło maluchowi porzucić ojca.

Trudno uwierzyć, że nic nie zostało

Mogło być również tak, że łatwo, ale Cebe zamknął tę myśl w najgłębszym zakątku umysłu.

Tak czy inaczej, młody miał w sobie więcej z dziadka niż z taty. Gdy Cebe po raz pierwszy sprowadził go po dziewięciu skrzypiących stopniach, nawet nie próbował się wyrwać. Oszczędził starcowi odgrywania przerażającej sceny z wbijaniem kościstych palców w młode, bezsilne ramię. Cebe był mu za to wdzięczny, bo nie wiedział, czy potrafiłby wcielić się w rolę oprawcy – a nawet gdyby zdołał, nie byłby w stanie sobie wybaczyć.

Nini spokojnie wysłuchał, co Cebe miał do powiedzenia, i odważnie, choć ze strachem w oczach, stanął twarzą w twarz ze zmorą. Przełknął wierzgający skrawek wija, wybrany i odrąbany przez tatusia. Posłusznie pożywał się robakiem najpierw raz w tygodniu, później dwa razy.

A potem zniknął.

Cebe miotał się jak w gorączce. Tęsknił śmiertelnie, ale czuł ulgę; był przerażony, że po jego śmierci stwór pozostanie bez nadzoru, a zarazem przykładał do tego coraz mniejszą wagę, tłumacząc sobie, że wypełnił swoją misję, bo został na posterunku. W końcu nikt nie kazał mu przekazywać pałeczki; Bóg Ojciec tylko jego obarczył brzemieniem i być może Cebe popełnił błąd, próbując przerwucić je na potomka.

Nieważne. Nini był wolny. Na tym Cebe usiłował skupić myśli, ale cały wysiłek spętał na niczym, gdy pewnego wieczora zaskrzypiał dziewięć razy na piwnicznych stopniach i zobaczył jedynie pusty otwór.

Dziura w ziemi. Nic więcej.

– Nic nie zostało? – mruknął słabo.

Nie zauważył, że zjadł zmorę do końca? Wypełzła wreszcie i uciekła? Przez dwa dni od odejścia Niniego chodził jak otępiały. Nie zwróciłby uwagi, gdyby stanął w ogniu.

Zajrzał do dziury, ale była zbyt ciemna. Wziął latarkę, lecz jak daleko by nie wyciągał ręki, światło wsiąkało w oleisty mrok. Wąski tunel nie miał końca.

Kręcił się po piwnicy, wchodził na parter i wracał, przysiadł i wstawał z krzesła, nie potrafiąc znaleźć miejsca na dłużej niż minutę. Był... wolny. Dręczony myślą, że to tylko sen, szedł do łóżka i próbował usnąć, żeby sprawdzić, w jakim świecie się obudzi, ale podekscytowanie nie pozwoliło mu zmrużyć oka. Co mógł zrobić? Zmył stół i zamiótł podłogę, ale nie miało to większego sensu. Dom nagle przestał do niego pasować i Cebe czuł się tu zbędny, wręcz niepożądany.

Założył najlepsze ubranie, po czym ruszył do miasta, a gdy tam dotarł, przez pół nocy błądził ulicami skąpanymi w pomarańczowym blasku, smakując myśl, że nic nie wzywa go z powrotem, a zarazem czując z tego względu dziwną pustkę i żal. Wreszcie wygrało zmęczenie. Zasnął na ławce, pstrzającej się już kroplami rosy.

Obudził go głód. Podźwignął się i, drżąc z zimna, roztarł zgrabiące dłonie. Mniejsza z żołądkiem, kiedy wreszcie mógł doświadczać świata. Ruszył przed siebie, by chłonąć otaczające piękno oraz przypominać sobie uczucia, które po raz ostatni towarzyszyły mu w dzieciństwie.

Nic z tego. Był zbyt obolały i otępiały. Powłóczył nogami, a gęstniejący tłum z każdą chwilą stawał się coraz bardziej ohydny.

Wreszcie Cebe upadł.

Trudno uwierzyć, że nic nie zostało.

Niemożliwe. Coś zostać musiało.

Głód trawił go, rozpuszczał żywcem. Cebe z trudem otworzył sklezione powieki i przez mgłę zobaczył salę w kolorze zgniłej zieleni. Za parawanem rozmawiały o nim dwa głosy.

Jeden wyszeptał, że nie słyszał o podobnym przypadku.

Drugi zapewnił go, że nikt nigdy się z czymś takim nie spotkał.

Pierwszy zaproponował karmienie poza jelitami.

Drugi odrzekł, że próbowali, ale i na to zareagował w niesłychany sposób. Co dalej?

Trudno uwierzyć, że nic nie zostało

Lekarze nie mieli już odpowiedzi i Cebe zrozumiał, że nie widzą dla niego ratunku. Poczł satysfakcję. Był tajemnicą! Skrywał coś, czego nie potrafili zrozumieć najtęższe głowy świata.

Nagle jego żołądek się skręcił, żądając porcji mięsa. Cebe zdusił jęk i poczekał, aż konowały zostawią go w spokoju, a wtedy wymknął się ze szpitala, nie zwracając niczyjej uwagi, mimo że ubrali go w długą nocną koszulę i nic więcej.

Coś zostać musiało.

Płonął, kurczył się w sobie, wyprężał z bólu, ale parł w stronę domu. Widział coraz słabiej i myślał już tylko o głodzie. Jego świat, który na chwilę powrócił do pamiętanych z dzieciństwa rozmiarów, znów zmniejszył się do mrocznej i zatęchłej piwnicy, tym razem nie ze względu na przybycie demona, ale przez jego odejście.

Piechotą, w zimnie i na gołych, ranionych kamykami stopach; autobusem, skulony w kącie na najdalszym z siedzeń; znów maszerując po ostrym żwirze i część drogi przebywszy na czworakach, Cebe w końcu dotarł do gospodarstwa. Padł drzwi, prosząc opatrność, by w piwnicy czekała na niego zmora.

Tylko nie to.

Nic nie zostało.

Trudno uwierzyć...

Upadł na kolana. Z nieheblowanej półki zdjął latarkę i poświecił do dziury. Dochodzący z niej fetor, choć mdlący, napełniał go nadzieją. Trzymając lampkę w zębach, z rękami wyciągniętymi na wprost, Cebe zaczął wciskać się w tunel, który nawet dla wychudłego starca był ciasny. W końcu wpełzł cały.

Wił się, odpychał palcami stóp i przyciągał dłońmi, prac głębiej i głębiej, centymetr po centymetrze, godzinami. Oddychanie zaczęło być trudne, a zimna, wilgotna ziemia napierała na niego z coraz większą siłą. Tym razem to nie on pożerał, ale sam dawał się pożreć.

Parł dalej, bo trudno uwierzyć, że nic nie zostało. Jeszcze kawałek, tylko kawałeczek. Gdzieś tam na pewno czekała jego zmora.

Głębiej.

I głębiej.
I wolniej.
I trudniej.

W końcu jego ciało dało za wygraną, a wraz z nim umysł. Nic nie zostało. Pogodził się z tym. Zgasła latarka i został sam w śmierzdzącej, duszącej ciemności, w pół drogi do piekła, nie mogąc się ruszyć. Czuł pulsowanie w obolałym ciele: błaganie mięśni, by zmienił pozycję i dał odpocząć.

Nie mógł tego zrobić. Ani wrócić, ani przeciskać się dalej. Nie miał siły – nie potrafił nawet wykrzesać z siebie wściekłości. Myślał o przejażdżce traktorem na kolanach ojca i o tym, jak przyjemnie było nie wiedzieć wtedy, że umrze w takim miejscu, zagłodzony, zakleszczony, sam jeden.

Nic nie zostało.

Ale to przecież nieprawda. Coś zostało. Wszystko, o co walczył Cebe. Świat, któremu już nie zagrażała zhora, i którego przetrwanie okupił własnym życiem.

Teraz miał wrażenie, że to niewiele za tak wysoką cenę.

Poruszył się ostatkiem sił, by choć trochę poprawić boleśnie ułożone ramię i dogasać w ciszy zasnuży mgłą żalu.

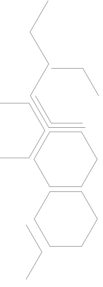
Opowiadanie opracowali:

Redakcja: Sylwester Gdela

Korekta: Kaja Pudełko, Ilona Skrzypczak, Agnieszka Stawarczyk

Weryfikacja: Joanna Gasińska, Mateusz Kempa, Anna Sikorska, Anna Twarowska

Sczytywanie: Patrycja Pancierz



REKONSTRUKCJA OSTATNICH DNI DOKTORA DIUELA

Michał Gralak

Egzemplarz recenzencki

Składany do: *Biuletyn Akademii Kyleth, Zeszyty Pamięci, t. 41, nr 1*

Autor pracy recenzowanej: *Joseff Lyss*

W pracy posłużono się fragmentami dziennika dr. Sangarkhama Diuela.

SUMA

Rekonstrukcja ostatnich dni dr. Diuela


J. Lyss

Akademia Kyleth – Katedra Somnologii

sporządzono w toku studium

nad przypadkami wyczerpania sennego

Streszczenie – poniższa praca pośrednio stanowi próbę uporządkowania naszej wiedzy na temat epizodów somnologicznych z Kyleth, pomiędzy koniunkcją planet Xyn i Eloi. Przede wszystkim jednak ma ona na celu oddanie sprawiedliwości i oczyszczenie dobrego imienia doktora Diuela. Próby przeinaczania faktów czy sugerowanie, jakoby za sprawą własnej



metody naukowej postradał rozum, poczytywać należy za haniebne i obrazoburcze, zwłaszcza w kontekście jego niepodważalnych zasług. Bez wątplenia pośmiertny los, jaki spotkał Sangarkhama Diuela, jest równie potworny, co jego ostatnie dni.

Gdy złowrogie widmo paraliżującego snu po raz pierwszy zawisło nad miastem Kyleth, drżałem ze strachu, widząc upiorne rozbryzgi na kanwie niepewnej przyszłości. Obcy duch, okrutnie szydery i nienawistny, począł pukać do naszych drzwi. Powietrze zdawało się naelektryzowane nieznaną siłą, przenikającą nawet mury Akademii.

Jestem przekonany, że już wówczas nie byłem osamotniony w mych odczuciach. Prędko dostrzegłem różnice w zachowaniu współpracowników, którzy sprawiali wrażenie rozkojarzonych i zmęczonych. Dzisiaj już wiem, że wynikało to prawdopodobnie z tak zwanych epizodów somnologicznych, czyli dziwnego stanu zawieszenia pomiędzy snem a jawą.

Niewytłumaczalne i początkowo bagatelizowane zaburzenia fizjologii snu szybko odcisnęły swe piętno na całym Kyleth. Wydawałoby się, że rzecz tak prozaiczna nie będzie w żaden sposób dostrzegalna dla ogółu populacji, lecz nic bardziej mylnego. W zastraszającym tempie wzrosła liczba wypadków z udziałem miejskich powozów. Robotnicy w manufakturach zasypiali w czasie pracy, co częstokroć kończyło się poważnymi obrażeniami, a nawet śmiercią. Najgłośniejszym przypadkiem łączonym z epizodami somnologicznymi było zderzenie prototypowego pojazdu szynowego z karetą przewożącą radnych miejskich. W gazetach ze szczegółami odmalowano krwawy obraz, wyłaniający się z pyłu i kurzu tuż po tym, jak molołch staranował zaprzężone konie.

Tymczasem większość naukowców z Akademii Kyleth, z właściwą sobie niefrasobliwością i lenistwem, zbagatelizowała rozlewający się po całym mieście odór niesamowitości i zadowolili się najprostszymi wytłumaczeniami, jakby pragnąc wyzwolenia od niepokojącego fenomenu.

Zaburzenia snu tłumaczono najpierw anomaliami pogodowymi, później koniunkcją planet Xyn i Eloi. Następnie zarzucono te teorie, a rozwiązania zaczęto upatrywać w tak zwanych burzach magnetycznych, a nawet w roślinnych miazmatach. Choć oczywiście niepoprawne, hipotezy te również przetrwały kilka miesięcy.

Jedynymi osobami, które postanowiły w naukowy sposób odpowiedzieć na wyzwanie rzucone im przez koszmarny pryzmat, okazali się doktor Nill Eyhorn oraz doktor Sangarkham Diuel. Wybitni somnolodzy, opracowujący nowatorskie metody badania snów, słusznie przeczuwali, że cień nad Kyleth w żadnym wypadku nie ma charakteru przejściowego.

Wówczas jako adiunkt w katedrze somnologii – jedynej liczącej się katedrze w Akademii – miałem okazję obserwować, jak równocześnie rozwijane były dwie metody: Eyhorna, opierająca się na projekcji astralnej, oraz przeciwstawna jej koncepcja eksterioryzacyjna Diuela. Zostały one wówczas uznane za ekscentryczne fanaberie, co zresztą – w dobie triumfów fenomenologii – nikogo szczególnie nie dziwiło, tym bardziej prekursorów obydwu metod naukowych.

Techniki poskramiania snów okazały się jednak nad wyraz praktyczne. Zespół śniących, prowadzony przez Eyhorna, opisywał pierwsze przypadki paraliżu sennego, korzystając z wiedzy zdobytej w czasie praktykowanych projekcji. Sądzono wówczas, że to dziwaczne zjawisko niebawem ustąpi. Ludzie, którzy przeżyli paraliż senny, opisywali go jako uwięzienie we własnym ciele wraz z towarzyszącym poczuciem nieustannego zagrożenia.

Taki stan utrzymywał się nawet do godziny po przebudzeniu. Eyhorn – oczarowany możliwościami aromaterapii badanej przez jego przyjaciół z Uniwersytetu w Hasarze – uważał, że paraliż senny da się leczyć za pomocą inhalacji roztworami soli, projekcje astralne traktował zaś raczej jako narzędzie. Ułatwiały one odnalezienie nieszczęśliwych uwięzionych we własnych ciałach.

W mieście coraz częściej odnotowywano sytuacje, gdy przedstawiciele magistratu oraz Akademii siłą wdierali się do zamkniętych mieszkań i podejmowali kolejne akcje ratunkowe. Powszechne stało się wówczas zostawianie otwartych zamków w drzwiach, tak by potencjalnie nie utrudniać zadania niosącym pomoc.

Tuż przed pierwszym przypadkiem wyczerpania sennego zostałem przyjęty do zespołu asystentów doktora Diuela. Początkowo nasza współpraca nie układała się zbyt dobrze, aczkolwiek wynikało to z faktu, że wcześniej nie miałem okazji dokładnie poznać techniki eksterioryzacyjnej.

Szybko jednak wyleczyłem się z nadmiernego sceptycyzmu, widząc, jak sprawnie Diuel zarządzał swoim zespołem śniących. Na przestrzeni dwóch miesięcy kilkakrotnie ustalił on wraz z Eyhornem położenie ludzi w paraliżu sennym i pomógł w ich odratowaniu. W tym miejscu muszę nadmienić, iż pierwsza styczność z ofiarą tej dziwacznej choroby na zawsze zmieniła moje podejście do somnologii. Jeżeli tylko możliwym jest, by zgłębiając tę dziedzinę wiedzy, uniknąć incydentów wyczerpania – powinniśmy robić to za wszelką cenę.

Mieszkanie na ulicy Birschta nie wyróżniało się niczym szczególnym, wręcz łatwo było je pomylić z sąsiadującymi budynkami. Wyglądało tak jak niemalże każde w tej dzielnicy – elewacja z czerwonych cegieł, wąskie, pozastłaniane firanami okna i drzwi zdobione mosiężną kołatką.

Po przekroczeniu progu mieszkania potrzebowali zaledwie chwili, by zlokalizować ofiarę. Starsza kobieta, która zasnęła w saloniku na piętrze w skórzanym fotelu, wyglądała na kompletnie wyczerpaną. Błada skóra wyraźnie kontrastowała z przekrwionymi oczami, a po twarzy spływały jej kropelki potu. Zaduch panujący w pomieszczeniu był nie do zniesienia, wobec czego szybko rozsunąłem firany i otworzyłem okna. Nie przewidziałem jednak reakcji kobiety na światło dzienne. Gdy jej twarz oświetliły promienie słońca, z impetem padła na ziemię, ku przerażeniu wszystkich zgromadzonych.

Śniący robili, co w ich mocy, aby wybudzić biedaczkę z tego stanu zawieszenia pomiędzy śniatami, jakkolwiek nawet zastosowanie

inhalatorów z roztworami soli w żaden sposób nie pomagało. Diuel sugerował przeprowadzenie terapii eksterioryzacyjnej, lecz Eyhorn stanowczo się sprzeciwił. Ufny swoim metodom kontynuował próbę ratunku, lecz bez skutku.

Sytuacja zrobiła się bardzo nerwowa. Po raz pierwszy paraliż senny okazał się tak nieustępliwy. Zazwyczaj stateczni Eyhorn i Diuel zaczęli się przekrzykiwać i wyklócać o kolejne podejmowane działania. Chciałbym wymazać z pamięci ten obraz groteskowej licytacji na idee nad ciałem umierającej kobiety.


Bo ofiara zmarła. Paraliż senny zabił podstępnie i w ohydnie obrazoburczych okolicznościach. Ratownicy przybyli na czas, tęgie umysły gotowe były udzielić pomocy, dysponowaliśmy niezbędnymi narzędziami i zdawało nam się, że wszystko mamy pod kontrolą – a tymczasem zdało się to na nic.

Eyhorna bardzo to dotknęło. Podejrzewam, że po kilku udanych interwencjach medycznych był już pewien swej metody, a teraz się zwyczajnie przeliczył. Mylnie sądził, że jego udoskonalona aromaterapia i inhalacje będą ostatecznym środkiem w walce z sennym wyczerpaniem. Choć nikt wprost go nie zgañił ani nie skrytykował, musiał czuć na sobie oskarżycielskie spojrzenia adiunktów i asystentów z innych katedr.

Zaraz po tym spadły na nas kolejne złe wieści. W wyniku paraliżu sennego zmarła następna osoba, tym razem mężczyzna w sile wieku, aktor w Teatrze Braci Biesów. Po powrocie do domu z próby położył się spać i już więcej się nie obudził. Nastąpiło to zbyt szybko, by którykolwiek ze śniących zdążył zareagować. Informację o śmierci mężczyzny otrzymaliśmy od przedstawicieli magistratu.

Diuel zřęcznie ukrywał swój gniew, lecz zagadka paraliżu sennego nie dawała mu spokoju. Poprzysięgł rozwinąć swoją metodę eksterioryzacyjną, wykorzystując także dorobek Eyhorna. W tamtym czasie doktor stronił od ludzi. Nawet dotychczasowe konsultacje z pracownikami naukowymi Instytutu zawiesił na rzecz prowadzenia własnych badań.

Był to punkt przełomowy w podejściu Diuela do rzuconego mu przez los wyzwania. Podupadł na zdrowiu i zaczął regularnie pić ziołowe



odwary. W niewielkich ilościach miały działanie pobudzające i umożliwiały bardziej efektywną pracę umysłową. Doktor widocznie pił ich zbyt wiele, co rzuciło się w oczy choćby po chwili obserwacji jego dłoni. Drżały tak bardzo, że nie mógł samodzielnie przeprowadzać niektórych operacji laboratoryjnych. Wówczas to, niby przypadkiem, zostałem poproszony o asystowanie przy pozyskiwaniu części niezbędnych roztworów soli. Nie łudziłem się w żaden sposób, że oto doktor postanowił odtworzyć nadszarpnięte więzi towarzyskie. Wiedziałem, że po prostu potrzebuje asystenta, który weźmie na swoje barki odpowiedzialność za przygotowanie jego stanowiska pracy.

W związku z tym spadły na mnie takie drobne uciążliwości, jak bieżąca konserwacja cylindrów laboratoryjnych i rozdzielaczy czy zabezpieczanie spreparowanych soli. Mogłem w tym czasie jednak obserwować zachowanie doktora i zmiany w jego fizjonomii. Oczy Diuela były przekrwione, a skóra nabrała niezdrowej barwy. Raz na jakiś czas spostrzegałem też tiki nerwowe, które wykrzywiały mu twarz w upiorny sposób, tak jakby przeszywało go jakieś okrutne wspomnienie.

Więści o kolejnych przypadkach wyczerpania sennego bardzo mocno odbijały się na zdrowiu doktora. Przez pewien czas sądziłem nawet, że przyjmuje spore ilości laudanum. Wtedy jednak byłby w stanie opanować drżenie rąk i prowadzić badania samodzielnie. Zachowanie uczonego niepokoiło także innych pracowników Instytutu, również takich, którzy nie mieli z nim styczności na co dzień.

Na tydzień przed eksperymentem Diuel wydawał się wyraźnie podekscytowany. Parokrotnie nawet opowiadał mi, że zbliżamy się wreszcie do przełomowego momentu w naszych badaniach. Co pragnę podkreślić, a co sprawiło mi ogromną radość – powiedział „naszych” zamiast „moich”. Doktor postanowił wejść w senny trans celem zweryfikowania na własnym ciele mechaniki paraliżu sennego. Chciał sprawdzić, czy uda mu się połączyć eksterioryzację z aromaterapią Eyhorna. Doświadczenie wychodzenia poza ciało miało w tym wypadku służyć przewyciężeniu negatywnych skutków paraliżu.

Byłem tam, gdy Diuel przechodził przez zasłonę rzeczywistości do krainy śniących. Eksperyment przeprowadziliśmy we dwóch w sali chemicznej Instytutu Somnologii. Zdobywanie niezbędnych odczynników i przygotowywanie przestrzeni laboratoryjnej do warunków eksperymentu zajęło nam sporo czasu, jednakże dla tej historii pozostaje to bez znaczenia. Słowem komentarza muszę jednak dodać, że po naszych modyfikacjach wystrój pokoju uległ diametralnej zmianie. Centralne miejsce zajmował teraz regulowany fotel, wokół niego leżało zaś kilkanaście kadełek, każde wyraźnie różniące się od pozostałych. Powietrze było niemalże gęste od unoszącej się mgiełki zapachów, które atakowały nasze zmysły. Sam odczuwałem delikatny wpływ tych niesamowitych woni, jednak to nie ja miałem zostać wprowadzony w trans.

Diuel, z lekka tylko podenerwowany, zajął miejsce w fotelu i poprosił mnie o zachowanie dyscypliny czasowej. Postanowił, że pierwsza próba powinna trwać nie dłużej niż dwadzieścia siedem minut. Nie miałem dostępu do jego obliczeń, więc nie wiem, czemu za bezpieczną granicę przyjął właśnie taki okres. Nastawiłem czasomierze, a potem podałem mu dimorfinę. Bałem się, czy aby na pewno zadziała tak dobrze, jak zakładaliśmy – ostatecznie miałem podejrzenia, że doktor już wcześniej przyjmował spore ilości tego lub podobnego środka. Jakkolwiek już kilka minut po iniekcji wszedł w pierwszą fazę snu.

Nieco uspokojony przystąpiłem do monitorowania reakcji fizjologicznych i stabilności oddechu. Sztuczne wywołanie paraliżu sennego za pomocą eksterioryzacji, a następnie zredukowanie jego wpływu poprzez aromaterapię, wydawało się pomysłem co najmniej karkołomnym. Tymczasem za wszystko odpowiadała czysta chemia. Dimorfina, inhalacja z soli mineralnych, esencji olejków o działaniu podobnym do psychoaktywnych – razem miały zadbać o to, aby Diuel nie wpadł w panikę po tym, jak osiągnie go paraliż senny. Jednocześnie miał zachować na tyle przytomności umysłu, aby stosunkowo łatwo wydostać się z tego dziwnego stanu zawieszenia.

W dwunastej minucie snu Diuel wszedł w fazę paraliżu sennego, mniej więcej zgodnie z przewidywaniami. Ciało doktora zesztyniało,

a z jego twarzy dało się wyczytać zaniepokojenie, może nawet strach. Oczywiście nijak miało się to do stanu innych ofiar tej przerażającej choroby. Być może za sprawą dimorfiny, a może za sprawą spreparowanych soli i ich wpływu na zmysły śniącego, paraliż powoli zaczął mijać. W dwudziestej minucie snu napięte mięśnie się rozluźniły, a doktor ponownie zaczął miarowo oddychać. Wybudzenie nastąpiło sześć minut później, tuż przed tym, jak miałem sam interweniować.

Eksperyment przebiegł pomyślnie, bez żadnych komplikacji czy incydentów. Paraliż senny okazał się bardzo łagodny, Diuel zachował zaś pełnię sił.

W tym miejscu pragnę zawrzeć fragment prywatnego dziennika doktora Diuela, w którym opisał on swoje przeżycia związane z naszą próbą badawczą oraz myśli mu wówczas towarzyszące.

72

Fragmenty dziennika doktora Diuela

Niezależnie od moich wcześniejszych przemyśleń i podjętych założeń, niezależnie od wyników obliczeń i konceptów, które uważałem za prawidłowe – prawdopodobnie rozwiązanie problemu Kyleth leży zupełnie gdzie indziej. Zmora, która towarzyszyła mi w czasie eksperymentu eksterioryzacyjnego, nadal nie daje mi spokoju. Być może to tylko uboczny skutek działania niektórych soli, a być może objawy silnego zatrucia?

(...)

Niewątpliwie obrazy, które mnie nawiedziły, należały do najbardziej osobliwych, z jakimi dane mi było mieć styczność w całym moim życiu. Przenikające się wonie i dźwięki stworzyły kakofonię dla zmysłów, do tego stopnia odstręczającą, że przez chwilę naprawdę obawiałem się śmierci w szponach paraliżu sennego.

(...)

W mojej głowie zmaterializowała się istota o bursztynowych oczach, nosząca ludzką twarz. Nijak jednak nie chciałbym jej określać mianem ludzkiej. Jeżeli taki NAPRAWDĘ jest obraz człowieka, to boję się własnego gatunku. Nie umiem pozbyć się z głowy tego dziwnego wrażenia, że to właśnie wtedy miałem okazję spojrzeć na nas, na naszą rasę w sposób prawdziwie zobiektywizowany, wolny od wykrzywionego, antropocentrycznego uprzedzenia.

Ostatecznie widziałem istotę po stokroć bardziej zezwierzęconą, niż gotowi bylibyśmy przyjąć, tak jakbyśmy po milionach lat ewolucji zostali ulepieni na nowo przez te ohydne siły targające nami na lewo i prawo, tak że jedyna cząstka, jaka w nas została, ta pierwotna cząstka, nierozzerwalnie z nami związana – była tymi dziwnymi, bursztynowymi oczyma.

Żadna to jednak pociecha. Ludzka natura, objawiona w tym obcym mi zupełnie kształcie, napawała mnie prawdziwym wstrętem. Oto jawiła mi się jako namacalny dowód tego, że przeżyliśmy moralny upadek za sprawą sił, którym podporządkowaliśmy się wieki temu i zaakceptowaliśmy narzucone nam przez ten świat reguły.

Za to złowrogi, cyniczny i zdecydowanie bardziej wyrafinowany duch, kryjący się za tymi bursztynowymi oczami, pukał do moich drzwi, a ja wiedziałem, że w żaden sposób nie jestem w stanie się z nim równać. Ta pierwotna cząstka była jeszcze gorsza niż to animalistyczne wynaturzenie. Ona była racjonalna. Bardziej racjonalna i logiczna, niż my jako współcześni ludzie moglibyśmy kiedykolwiek być, a której drogą być może kiedyś mogliśmy zmierzać...

Feeria barw i obrazów przelewających się w kształty kolejnych twarzy z różnych czasów spadła na mnie w chaotycznym wirze minionych wydarzeń. Oto objawiły mi się tysiące lat ewolucyjnego upodlenia i zbydlęczenia, na jakie... tak po prostu przystaliśmy? To nie była moja myśl. A jednak w mojej głowie wybrzmiało makabryczne oskarżenie, że oto mój gatunek zaakceptował miejsce pośród kundli. A przecież nasze oczy musiały kiedyś mieć tę szlachetną, bursztynową barwę.

*Spójrzcie, jak nisko upadliście, bratając się z bestialstwem!
(...)*

Patrzę w mój dziennik i nie mogę spamiętać, kiedy napisałem te słowa. To nie moja myśl, to nie mój głos.

(...)

Czy to możliwe, że metoda, którą opracowałem, nigdy nie była moja? Czy Eyhorn też porzucił swoje badania, bo zrozumiał, że upomina się o niego ten dziwny i wyrachowany byt rodem z przesytych obrzydliwie wręcz dekadencją duchem epok?

(...)

Wtedy też się obudziłem, dręczony niejasnym przeczuciem, że oto właśnie nastąpił zmierzch epidemii wyczerpania sennego. Czy to możliwe, żeby za tymi wszystkimi epizodami somnologicznymi stała jednostkowa siła, z którą przyszło mi mierzyć się oko w oko?

(...)

Minął już tydzień od eksperymentu eksterioryzacyjnego. Wbrew moim obliczeniom – liczba interwencji w sprawie wyczerpania sennego spadła niemalże do zera. Nie zdążyliśmy sprawdzić, czy inhalacje z soli i kontrola snu stanowią skuteczny środek przeciwko tej chorobie. Może to i dobrze. Może w przyszłości okaże się, że uniknęliśmy prób leczenia anemii upuszczaniem krwi?

Jeżeli jakimś niesamowitym zrzędzeniem losu mój eksperyment położył kres epidemii – to czym ona w istocie była?

Jakkolwiek niesamowicie by nie brzmiały opisane wyżej zdarzenia, moim zdaniem mogą się one wpisywać w klasyczny przebieg epizodów somnologicznych związanych z wyczerpaniem sennym. Diuel nie miał racji, jeśli chodzi o kres epidemii. Jakiś czas później pomagałem w odratowywaniu kilku osób, u których także stwierdzono poważne zaburzenia fizjologii snu. Nie były one tak niebezpieczne jak paraliż senny, ale zdały mi się podobne.

Notatki doktora posłużyły jako argument w rękach jego przeciwników, którzy posądzili go o odejście od zmysłów. Faktem jest jednak, że za tajemniczą śmiercią Diuela musiało stać zwyczajne zatrucie roztworami soli, których proporcje w wyniku czy to mojej nieuwagi, czy nieumiejętności, nieświadomie zaburzyłem.

Doktor nie odszedł od zmysłów i nie umarł w wyniku załamania psychotycznego. Winnym jego śmierci jestem wyłącznie ja i gotowy jestem wziąć na siebie tę odpowiedzialność. Wiem, że demony, które nawiedzały jego pamięć, u swych korzeni miały najzwyczajsze reakcje chemiczne.

Fragmenty noty recenzenckiej

Niestety, praca Lyssa pozostawia wiele do życzenia, zarówno pod względem warsztatowym, jak i merytorycznym. Nie sprawdza się ani jako właściwa nota biograficzna, ani naukowe opracowanie metodologii Diuela. Niech milczeniem zostanie pominięte także uwłaczająco płytkie potraktowanie dorobku doktora Eyhorna.

(...)

Chcąc jednak oddać sprawiedliwość Lyssowi, należy wskazać, że całkiem trafnie zasygnalizował istotne dla nas ramy czasowe przemian w Kyleth. Niewątpliwie okres koniunkcji Xyn i Eloj pokrył się z chwilą, gdy w Akademii na nowo zaczęły rozkwitać aspiracje naukowe wielu adiunktów. Tragiczna śmierć doktora Diuela symbolicznie zamyka dla nas czas doktrynalnej stagnacji i otwiera cykl kolejnych niesamowitych odkryć. Dawniej praca Lyssa może i wydawałaby się godna publikacji, ale obecnie staje pod dużym znakiem zapytania. Mamy na podorędziu kolejną serię artykułów o infernalistyce, jedno opracowanie o paleoastronautyce czy w końcu wyniki badań frenologicznych doktora Pharo. Doktoranci ubiegają się o miejsce w naszym piśmie i wydaje się wysoce wątpliwe, czy sprawiedliwym będzie pozbawić ich tego zaszczytu na rzecz Lyssa.

(...)

Reasumując, nie sądzę, byśmy w dobie triumfu rozumu i logiki potrzebowali kolejnej tego typu nieusystematyzowanej pracy.



Opowiadanie opracowali:

Redakcja: Magdalena Świerczek-Gryboś

Korekta: Alicja Podkalicka, Ilona Skrzypczak, Maciej Sznurkowski

Weryfikacja: Anita Brzozowiec, Eliza Gościński, Aleksandra Smoczyńska,
Anna Twarowska

Sczytywanie: Anita Brzozowiec, Sylwester Gdela

PAKTY

Tomasz Kempski

Ustalili, że spotkają się na rozstaju dróg, na polach za domem jego rodziców. Noc była bezchmurna i chłodna. Miał przyjść sam oraz nikomu o tym nie mówić. Umowa wydawała mu się szalona, ale Adam i tak nie miał już nic do stracenia.

Droga wiodła przez cicho szumiące zboże. Na niebie migotały gwiazdy, księżyc w pełni rozświetlał drogę, a wiatr chłodził rozpaloną wysiłkiem twarz.

Adam nie chciał się spóźnić. Mimo wielu wad zawsze był punktualny. Nawet wtedy, gdy wiedział, że osoba, z którą się umówił, taka nie jest. Po prostu trzymał się swoich zasad, choć nierzadko wynikało z tego więcej szkód niż korzyści. Miał to po ojcu. Ten lubił sobie wypić. Zdarzało się, że bił matkę lub synów, ale nigdy nie zrobił tego w święta czy w niedzielę. Bo tak sobie postanowił. Był religijny, ale Adam wątpił, żeby wynikało to tylko z lęku przed Bożym gniewem.

Mężczyzna czuł strach, ale i nadzieję, chociaż próbował ją w sobie zdusić. Wiedział, że to głupie i naiwne. Facet pewnie z niego zażartował i nie stawi się w umówionym miejscu.

Im dłużej Adam szedł, tym mocniej czuł czyjś wzrok na plecach. Jednak ilekroć się odwracał i rozświetlał drogę latarką, nikogo nie widział.

To pewnie tylko moja wyobraźnia – tłumaczył sobie w myślach. Był już prawie u celu. W oddali wyłonił się zarys starego dębu, za nim droga się rozwidłała. Właśnie na jego gałęziach blisko dwadzieścia lat temu wraz z młodszym bratem wybudował domek. Często chowali się w nim, gdy ojciec miał gorszy humor i nie chcieli się mu narazić. Teraz najchętniej też by się w nim schronił. Tam zawsze łatwiej było zapomnieć, a Adam wolał nie myśleć o tym, co najprawdopodobniej spotka go już w najbliższej przyszłości.

Gdy uniósł głowę, z żalem spostrzegł, że z ich budowli pozostało kilka połamanych i spróchniałych desek.

Zmęczony przystanął pod dębem i rozświetlił latarką przestrzeń dookoła. Był sam i nigdzie nie widział zbliżającej się sylwetki mężczyzny, z którym się umówił. Do jego uszu docierały jedynie niepokojące westchnienia zbóż i cykanie świerszczy. Spojrzał na zegarek – do północy pozostało jeszcze pięć minut. Zdążył dotrzeć na miejsce przed czasem, więc, nieco uspokojony, przysiadł pod pnem. Patrząc na srebrzystą tarczę księżyca, zaczął rozpamiętywać ostatnie wypadki ze swojego życia.

Nigdy nie czuł obawy przed badaniami okresowymi w pracy. Przeważnie nawet cieszył się, gdy nadchodził ich czas, bo oznaczały dzień wolnego. W sumie to niby czego miał się bać? Zawsze okazywało się, że był zdrow jak ryba. Do tego nie palił, pił tylko okazjonalnie i w miarę możliwości prowadził zdrowy tryb życia. Jednak ostatnim razem wyniki morfologii i pomiaru cholesterolu zaniepokoiły lekarza, który skierował go na bardziej szczegółowe badania. Mówił też, że to nie musi oznaczać niczego poważnego, ale zawsze lepiej upewnić się zawczasu, niż później żałować.

Adam zastosował się do zalecenia specjalisty i już następnego dnia poszedł do laboratorium. Czekając na wyniki, czuł lekki niepokój, ale tłumaczył sobie, że nawet jeśli coś mu dolega, to przecież są leki, które szybko poradzą sobie z problemem. Strach pojawił się dopiero po odebraniu dokumentu. Uderzył z taką siłą, że pod mężczyzną ugięły się nogi i gdyby nie pomoc pielęgniarki, najprawdopodobniej osunąłby

się na podłogę. Kiedy lekarz potwierdził jego największe obawy, sprawy potoczyły się zaskakująco szybko.

Kolejne dawki chemii nic nie dały. Strach zamienił się w gniew i poczucie niesprawiedliwości. Adam wciąż się zastanawiał, dlaczego rak dotknął akurat jego i z każdą chwilą mniej to rozumiał. Nie dopuszczał do siebie myśli, że nowotwór mógł pojawić się bez powodu lub czekać w nim, dotychczas uśpiony. Z początku ból też nie był najgorszy, dopiero kiedy doszło do przerzutów, zaczął się prawdziwy koszmar.

Adam, wyrwany ze wspomnień przez szczekanie psa z pobliskiego gospodarstwa, spostrzegł, że obok niego leży mnóstwo śmieci. Głównie puste puszki po piwie, opakowania po papierosach i butelki po jabolach – świadectwo licznych libacji, które się tu odbywały. Widok, który natychmiast skojarzył mu się z ojcem.

Mężczyzna myślał o nim zwykle w chwilach, gdy ból ustępował, a ostatnio zdarzało się to rzadziej. Wtedy na nowo przeżywał dawne krzywdy, wspominał zmarnowane dzieciństwo i zapłakaną matkę. Nigdy nie widział ojca cierpiącego, właściwie wszystko przychodziło mu z łatwością, jakby odkrył jakiś tajemny sposób na unikanie przykrości i nieszczęść. Kiedy pracował, to zawsze tak, żeby się nie zmęczyć. Nie był jedynym elektrykiem w okolicy i pomimo tego, że wiele razy nie przychodził na wezwania albo mocno się spóźniał, zebrał grono wiernych klientów.

Kolejną rzeczą, o którą Adam miał do niego żal, stanowiły liczne romanse. Ojciec zapracował na opinię miejscowego podrywacza, któremu co prawda Bóg poskąpił urody, ale za to obdarzył ponadprzeciętną charyzmą i pewnością siebie. Matka udawała, że o tym nie słyszy i nie widzi kpiących spojrzeń innych kobiet ze wsi, ale jej syn domyślał się, jak bardzo to przeżywała. Nocami, gdy mąż nie wracał do domu, siedziała sama w kuchni i przy świetle świecy przeglądała ich stare zdjęcia. W końcu sama zaczęła popijać.

Według podejrzeń Adama, gdy porównywała się z kobietą z tamtych lat, przeczuwała, że teraz wzbudza w mężu jedynie obrzydzenie, a jego rzadkie momenty troski, przeważnie poprzedzone atakami furii, to

nie oznaka miłości, tylko litości i poczucia winy. Adam sądził, że właśnie ten żal w dużej mierze przyczynił się do jej choroby. Nienawidził ojca już wcześniej, ale po odejściu matki i po tym, jak sam zachorował, ta emocja zawładnęła nim do tego stopnia, że właściwie nie doświadczał już niczego innego. Pozostała tylko zżerająca go od środka nienawiść. Nienawiść i chęć zemsty, którą z premedytacją nazywał sprawiedliwością.

Rozmyślenia mężczyzny przerwał głęboki, chrapliwy głos dochodzący zza jego pleców.

– Przyszedłeś. Cieszę się.

Adam z przestachem zerwał się z miejsca. Dobrze mu znany i nieznosny ból w piersi znów zaatakował, odbierając oddech. Zakręciło mu się w głowie i musiał oprzeć się o pień, aby nie wylądować na ziemi. Gdy doszedł do siebie, spojrzał w górę.

Przed nim stał człowiek, na którego czekał. Czuł smród jego potu i od dawna niepranych ubrań. Widział długie, rzadkie włosy rozwiewane przez wiatr, podłużną twarz wyrażającą zadowolenie. Nieznajomy od początku nie spodobał się Adamowi. Miał typową gębę wółczęgi, wiecz- nie pijanego cwaniaczka. Czerwoną, przeoraną głębokimi zmarszczkami skórę, wodniste oczy, wielki, jeszcze bardziej czerwony nochal, pod którym za kilkudniową szczecinę malował się niegasnący uśmiech.

To oblicze było Adamowi znajome. Przywodziło na myśl lata upokorzeń i wstydu. Dopiero teraz dotarło do niego, jak bardzo musiał być zdesperowany, żeby przyjść na spotkanie z kimś o facjacie przypominającej mu to wszystko, od czego od wielu lat próbował się uwolnić.

– Sam się sobie dziwię. Chyba ten cholerny rak zaatakował mi też mózg.

Nieznajomy zignorował uwagę.

– Przyniosłeś to, o co cię prosiłem?

Mężczyźni stali naprzeciw siebie, mierząc się wzrokiem.

– Owszem.

Zaczął grzebać w kieszeni spodni i w końcu wyciągnął z niej grzebień z kilkoma siwymi włosami zaplątanymi w plastikowe ząbki, po czym podał go nieznajomemu.

– Doskonale. Zastanów się jeszcze, czy na pewno tego chcesz. Potem nie będzie już odwrotu.

I znów ten uśmiech. Adam czuł się coraz mniej pewnie. A jeżeli facet przed nim jest jakimś psychopatycznym mordercą? No cóż, wtedy tylko wyświadczyłby mu przysługę, oszczędzając dalszych cierpień.

– Jasne, że chcę. W życiu nie byłem niczego pewniejszy! To on powinien zachorować, a nie ja czy tym bardziej moja matka! Zachorować, umrzeć i smażyć się w...

Nie zdążył dokończyć, bo nagle wstrząsnęły nim torsje. Było ciemno i nie mógł tego wiedzieć z całą pewnością, ale miał wrażenie, że z jego trzewi wydostało się coś żywego. Jakiś oślizgły, obły kształt poruszył się pod nim i znikł w zaroślach.

– I tak będzie, Adamie Michalski. Zobaczysz. Jesteś już zdrowy. Teraz pozostało nam tylko dokończyć formalności.

Nieznajomy wyciągnął rękę, nie spuszczaając wzroku z Adama. Patrzył na niego z chytrym błyskiem w oku. Mężczyzna dopiero po chwili spostrzegł, że w dłoni jego towarzysz trzyma długi sztylet o wąskim ostrzu. Zaciśnięte na rękojeści palce zakończone były ostrymi paznokciami przypominającymi pazury.

– Na ogół wymaga to większego zaangażowania i bardziej skomplikowanego rytuału, ale w twoim przypadku wystarczy mi tylko niewielkie nacięcie, trzy, może cztery milimetry we wnętrzu dłoni.

Michalski zaczął się pocić. Już wcześniej był podenerwowany, a widok broni jeszcze wzmógł ten stan. Wokół panowała zupełna cisza. Świerszcze przestały cykać, wiatr nie poruszał łanami. Mimo strachu Adam wziął w końcu przedmiot i po chwili wahania, krzywiąc się, zacisnął dłoń na ostrzu. Spomiędzy palców wyciekła strużka krwi.

– Dobrze. Powinno wystarczyć. Teraz, proszę, uściśnij mi rękę.

Adam zdawał sobie sprawę, do czego to wszystko zmierza. W myślach zaczął modlić się, aby spotkanie z nieznajomym okazało się tylko snem, choć jedna rzecz z całą pewnością nie pozwalała tak sądzić. Wbrew wzbierającemu w nim przerażeniu, pod względem fizycznym był w dobrej formie. Nic go nie bolało, oddychał swobodnie, nie czując przy tym,

jakby wraz z powietrzem do jego płuc dostawały się ziarenka piasku. Zniknął ucisk pod żebrami, osłabienie i zmęczenie. Michalski miał pewność, że nie mogło do tego dojść jedynie na skutek działania adrenaliny.

Przez chwilę rozważał ucieczkę. Racjonalna część jego umysłu powtarzała, że skoro odzyskał siły, miał w rękę sztylet, a facet przed nim wyglądał jak stary żebrak, powinno mu się udać. Gdzieś w głębi wiedział jednak, że wcale by tak nie było. Mógł tylko brnąć w to dalej.

– I jak będzie?

Nieznamy patrzył na niego oczekująco. Już się nie uśmiechał, przez co wydawał się jeszcze bardziej groźny i upiorny.

– W porządku, miejmy to w końcu za sobą.

Adam ucisnął dłoń mężczyzny. Poczuł ciepło, które niemal natychmiast zamieniło się w palący żar. Miał wrażenie, że wewnątrz jego dłoni płonie. W jednej chwili wydał z siebie krzyk. Chwył uległ wzmocnieniu i Michalski zaczął się szamotać, próbując za wszelką cenę uwolnić rękę. Nic to nie dało.

Nieznamy znów się uśmiechał. Uniósł lekko brodę i przymknął oczy, jak gdyby upajał się bólem, który powodował. Uścisk osłabł dopiero, kiedy Adam był już na granicy omdlenia. Wtedy mocnym szarpnięciem uwolnił rękę, omal się przy tym nie przewracając. W dymiącym wnętrzu dłoni tliła się czerwonią gwiazda o pięciu ramionach, a w jej środku dziwne, nieforemne symbole, których Michalski nie potrafił z niczym skojarzyć.

Opadł na trawę, ciężko dysząc. Teraz jego wszelkie wątpliwości zniknęły i ogarnął go paraliżujący strach.

– Jak... Jak to zrobisz? – wysyczał, wciąż walcząc z bólem. – Miałeś coś na dłoni, prawda? Proszę, powiedz, że nie jesteś tym, kim myślę.

Postać naprzeciw niego nie odpowiedziała. Nagle w jej oczach pojawiła się trupioblada poświata. Uśmiech odsłonił wianuszek długich i ostrych zębów. W powietrzu pojawił się duszący zapach siarki. Brakowało tylko rogów. Być może osoba, którą Michalski początkowo wziął za włóczęgę, uznała, że wtedy jej wizerunek stałby się zbyt oczywisty.

– Och, Adamie... Dlaczego zawsze bierzecie mnie za oszusta? Zawsze wątpicie w moją moc i w intencje, z jakimi jej używam. Ciesz się zdrowiem i każdym dniem reszty swojego życia. Za pięćdziesiąt lat spotkamy się znowu.

To powiedziawszy, odwrócił się i zaczął oddalać. Michalski zamierzał jeszcze coś powiedzieć, miał w głowie masę pytań. Musiał się upewnić, że spotkał postać, o której dotąd słyszał tylko na lekcjach religii w szkole. Nie był jednak w stanie wydobyć z siebie głosu. Czy naprawdę właśnie sprzedał swoją nieśmiertelną duszę? Czy teraz czeka go wieczne potępienie? Czuł, że jeśli zaraz nie uzyska odpowiedzi na te pytania, to oszaleje.

– Zaczekaj – wydobył z siebie niemal bezgłośnie prośbę, choć na drodze nie było już nikogo poza nim samym.

Adam nie poszedł do lekarza, aby przekonać się, czy dalej jest chory. Za bardzo się bał. Zresztą jego samopoczucie raczej nie pozostawiało wątpliwości – bóle minęły. Mimo to ciągle brał leki, jakby na przekór własnemu organizmowi, który wyraźnie dawał do zrozumienia, że już ich nie potrzebuje.

Przez pierwsze tygodnie próbował na nowo cieszyć się życiem. Postanowił zakosztować tych wszystkich rzeczy, o których zawsze marzył, ale brakowało mu odwagi, by po nie sięgnąć. Teraz, kiedy czuł, że nie ma niczego do stracenia, okazało się to łatwiejsze, niż przypuszczał. Zaczął od sportów ekstremalnych, skoków na bungee, ze spadochronem, wizyt w tunelach aerodynamicznych. Dzięki nim poznał ludzi, którzy pomogli mu w realizacji tych mniej legalnych zachcianek. Eksperymentował z narkotykami i seksem. Chciał spróbować wszystkiego, bez względu na cenę. Kokaina, haszysz, LSD, MDMA, opium, seks grupowy i różnego rodzaju dewiacje z prostytutkami-narkomankami w ostatnim studium uzależnienia, najprawdopodobniej umierającymi już na żółtaczkę czy AIDS.

Gdy skończyły mu się pieniądze, z zaskoczeniem odkrył, że wcale nie jest z tego powodu zły. Wszystko, na co je wydał, i tak go rozczarowało. Momenty euforii i zapomnienia, jakie przeżywał, trwały zbyt krótko i sprawiały, że ostatecznie czuł się coraz gorzej.

Sześć miesięcy po pamiętnym spotkaniu Adam odebrał telefon z informacją, że jego ojciec jest ciężko chory, przebywa w szpitalu i bardzo chce się z nim zobaczyć. W pierwszej chwili mężczyzna był tak przerażony, że nie mógł wydusić słowa. Przecież właśnie tego pragnął, dla tej chwili zawarł pakt z diabłem, dlaczego więc nie czuł satysfakcji? W końcu doszedł do siebie i odezwał się cichym głosem.

– Dziękuję za informację. Proszę przekazać ojcu, że niedługo go odwiedzę.

Wiedział już, że wbrew temu, co początkowo zakładał, musi się z nim zobaczyć. Bo jeżeli już jest mu w życiu coś winien, to właśnie prawdę. Że umiera przez własnego syna, który przehandlował za to duszę.

Michalski w drodze do szpitala kupił ojcu nowy numer „Detektywa”, wodę i parę jogurtów. Idąc sterylnymi, białymi korytarzami przepełnionymi pacjentami w szlafrokach i zawsze spieszącymi gdzieś lekarzami, myślał o tym, jak wiarygodnie przedstawić to, co przydarzyło mu się pod starym dębem. W głowie miał już kilka wersji, jednak każda wydawała się ponurym żartem albo wyznaniem schizofrenika.

Jego ojciec przypominał szkielet owinięty skórą. Leżał skurczony i cały napięty. Z początku nie rozpoznał Adama i myślał, że to młodszy syn, Błażej.

– Adam, Adaś... To naprawdę ty? Bardzo się cieszę. Tak się bałem, że nie przyjdiesz. – Starzec mówił cicho i z wyraźnym wysiłkiem.

– Dzwonili do mnie, podobno jesteś ciężko chory i chciałeś się ze mną zobaczyć.

– Tak... Tak, chciałem. Chciałem ci coś powiedzieć. Tu, w szpitalu, miałem dużo czasu, żeby pomyśleć. O tym wszystkim, co zrobiłem źle. O tobie, mamie i Błażeju. O tym, że nie byłem ani dobrym mężem, ani dobrym ojcem... O ile w ogóle nimi byłem.

Gdy starzec zaczął mówić o ich rodzinie, wspominać wszystkie przykre sytuacje, których był powodem, Adam pomyślał:

Pewnie czegoś ode mnie chce. Tylko czego? Butelki czystej, więcej morfiny, tego, żebym udusił go poduszką, skoro lekarze i tak nie dają mu szans na wyleczenie, a ból będzie się tylko powiększać?

Ale im dłużej to trwało, tym większe były jego wątpliwości. Nie rozpoznawał już w ojcu dawnego gnębiiciela. Czy to możliwe, że choroba tak go zmieniła?

Starzec wreszcie zamilkł. Jedynie leżał i patrzył na syna. Czekał na reakcję, lecz Adam nie wiedział, co powiedzieć. Chciał mu wyznać prawdę, ale jak miał to zrobić, kiedy osoba przed nim nie była wcale tą, którą znał?

Ostatecznie wydusił z siebie banalne słowa:

– Jeszcze możesz z tego wyjść, nie można tracić nadziei.

W środku Adam aż się cały gotował. Nie tak to miało wyglądać. Ojciec miał się wkurzać, przeklinać chorobę, walczyć z nią, czerpiąc siłę ze swojego gniewu, jak ze wszystkiego, co dotąd krzyżowało mu plany.

W końcu staruszek wyciągnął wychudzoną, poranioną igłami rękę w kierunku syna.

– Muszę ci coś powiedzieć. Coś ważnego. Coś, czego nigdy ode mnie nie usłyszałeś, a powinieneś.

Patrzył na syna obcym wzrokiem człowieka, który pogodził się z losem. Nie było w nim tej charakterystycznej determinacji, pychy, tylko prośba o jeden gest. Uścisk dłoni. Gest, który wszystko naprawi, spowoduje, że znowu będą sobie bliscy. Gest, który da mu w spokoju odejść.

– Przepraszam. Przepraszam cię za wszystko, Adasiu.

Ręka starca zaczęła drżeć. Z każdą chwilą bardziej. Czas mijał, a Adam nie potrafił się zdobyć na przebaczenie. Ucisnął rękę diabłu, a nie potrafił podać jej własnemu, umierającemu z jego winy ojcu. W końcu odwrócił się i wybiegł z pokoju.

Obudził go dzwonek komórki. Zwlókł się z pełnej przetarć skórzanej kanapy i poszedł do kuchni. Telefon leżał na blacie. Spojrzał na wyświetlacz i po chwilowym wahaniu odrzucił połączenie. Brat dzwonił do niego od początku tygodnia, chciał się z nim podzielić obowiązkami związanymi z pogrzebem ojca, który zmarł trzy dni po wizycie Adama.

Zamiast zrobić sobie śniadanie, sięgnął po paczkę marlboro, z której wyciągnął ostatniego papierosa. Zapalił i poczuł, jak jego płuca wypełnia dym. Nie musiał się martwić rakiem. Jedyne, czego mógł być teraz pewnym, to własne zdrowie. Od ponad pół roku żywił się głównie alkoholem i narkotykami, a mimo to miał się doskonale. Nie miewał kaca ani nie czuł bólu, chociaż w ostatnim czasie robił naprawdę wiele, aby go wywołać. Nigdy nie spodziewał się, że będzie za nim tęsknił. Zrozpaczony, próbował przypomnieć sobie te wszystkie przykrości, na które zawsze narzekał. Rwanie w krzyżu, ćmienie zepsutego zęba, migrena, gdy się przepracowywał. To wszystko stanowiło część jego bezpowrotnie skradzionego jestestwa. Teraz stanowił tylko mdłą manifestację pustki. Łupinę bez orzecha. Martwą za życia i pozbawioną celu istotę.

Tym, co wciąż go dziwiło i nie dawało spokoju, był fakt, że utrata duszy okazała się taka prosta. Kilka słów, szybkie, choć bolesne przypięczenie paktu i... No właśnie – co dalej? W jego głowie pojawiały się przerażające wizje piekła i tortur, jakie go czekają. Usiłował je odganiać, ale nie udawało mu się to. Z każdym dniem obrazy piekielnych mąk były coraz bardziej przerażające. W końcu zaczął mieć wrażenie, że odcisnęły się w jego pamięci niemal tak, jak ten diabelski znak na skórze dłoni. I już z nim pozostaną, aż do momentu kolejnego spotkania.

Wieczorem, gdy leżał w łóżku pijany, próbując zasnąć, rozmyślał o tym, co by było, gdyby tamtej nocy nie stawił się w umówionym miejscu. Domyślał się, że z dużym prawdopodobieństwem już by nie żył. I ta wizja wcale nie wydawała się przerażająca. Wręcz przeciwnie.

Sen wciąż nie nadchodził, a poza tym chciało mu się sikać, więc w końcu wstał i chwiejnym krokiem udał się do łazienki. Gdy już zrobił to, po co tam przyszedł, jego uwagę przykuło nowe pudełko żyletek leżące na umywalce. Otworzył je i wyciągnął jedno z ostrych narzędzi które od

razu przyłożył do lewego nadgarstka. Było zimne i nieprzyjemne. Aż się wzdrygnął. Mimo to nie odłożył go na miejsce, tylko zabrał ze sobą do sypialni. Usiadł na łóżku i sięgnął po stojącą na stoliku nocnym opróżnioną do połowy butelkę wódki. Wziął potężny łyk, skrzywił się i z hukiem odstawił alkohol na blat.

Zdecydował się. Był gotowy zrobić to, co kiedyś wydawało mu się nie do pomyślenia. Nie czuł strachu, jedynie dreszcz ekscytacji. Może przez to, że się upił, a może po prostu pogodził się już z faktem, że w końcu i tak trafi do piekła. Dlaczego więc miałby czekać te pięćdziesiąt lat, skoro życie przestało go cieszyć i mieć jakąkolwiek wartość?


Znowu przyłożył ostrze do ręki. Dobrze wiedział, jak ma ciąć: wzdłuż, nie w szerz. W internecie jest dużo miejsc, gdzie można przeczytać, jak to zrobić, żeby nie odwalić fuszerki. Zamknął oczy, nacisnął na żyletkę i wykonał szybki, zdecydowany ruch.

Ocknął się na podłodze, gdy już świeża. Przez chwilę był jeszcze zawieszony pomiędzy snem a jawą. W końcu odchrząknął, podniósł dłoń i potarł powieki. Zobaczył zasklepioną, podłużną ranę na ręce.

Poczuł się jak szczur zamknięty w labiryncie, z którego nie ma wyjścia. Załamany, ponownie opadł na podłogę.

I wtedy, zupełnie niespodziewanie, doznał olśnienia. Oczy mu rozbłysły. Rozwiązanie okazało się tak proste, że aż się zaśmiał. Cemu dostrzegł je dopiero teraz? Może musiał zmienić punkt widzenia, by zobaczyć to, co było na wyciągnięcie ręki. Owszem, po stronie Boga nie odnajdzie już pomocy, jednak podobno z diabłem zawsze da się targować. Podpisał już jeden pakt, więc co powstrzymałoby go od zawarcia kolejnego? Co prawda własnej duszy już nie miał, ale mógł też przehandlować cudzą. Wiedział, że z pierwszą lepszą by nie przeszło, potrzebna mu była taka, która należałaby do kogoś bliskiego, najlepiej połączonego z nim więzami krwi. Cemu wcześniej nie przyszło mu to do głowy?

Śmiał się jak szalony, bijąc pięściami o podłogę. Pozostała kwestia, jak spotka się z diabłem. W przypiływie euforii stwierdził, że kiedy poczyni pierwsze kroki, ten sam się z nim skontaktuje. W końcu teraz byli nierozzerwalnie związani. Gdy to sobie uświadomił, dłoń zaczęła go



swędzieć, a wypalone na niej znamię pulsować. Odczytał to jako niewątpliwy znak. Momentalnie zerwał się z na równe nogi i pobiegł po telefon komórkowy. Wiedział, że będzie musiał użyć podstępny, ale nie przejmował się tym, bo osobę, o której myślał, znał bardzo dobrze. Nigdy nie uważał, by była bystra.

Wszedł w kontakty i wybrał jeden z pierwszych. Połączenie zostało odebrane po niecałych dziesięciu sekundach.

– Witaj, bracie. Przepraszam, że tak długo nie oddzwaniałem, byłem chory, do tego wiadomość o śmierci naszego ojca nieco mnie przytłoczyła. Jeżeli nie jesteś na mnie obrażony, to chętnie się z tobą spotkam, aby omówić sprawę pogrzebu...

Opowiadanie opracowali:

Redakcja: Magdalena Świerczek-Gryboś, Agata Tryka

Korekta: Maria Bernaciak, Kinga Grodzka, Milena Macul

Weryfikacja: Agnieszka Chodkiewicz, Patrycja Pancierz, Magdalena Piniak, Anna Twarowska

Szczytywanie: Sylwester Gdela

PLEŃ

Dagmara Adwentowska

*Robactwo jest twoim posłaniem, robactwo też
twoim przykryciem.*

Iz 14, 11

89

O tym, że się pod Szczelińcem wyroił robak hufcowy, dowiedziałem się pół godziny później niż jego odkrywca. Jak? Oczywiście z internetu. Znak naszych czasów – rosnąca liczba osób, które o każdym swoim kroku, zjedzonym posiłku i nieistotnym intelektualnym wynaturzeniu muszą powiadomić znajomych. Natychmiast! Jednak nawet takim ludziom zdarza się znaleźć w odpowiednim miejscu o odpowiednim czasie. Ich relacja w zalewie słów nieniosących żadnej treści błyszczy wtedy jak gwiazda, stając się wskazówką dla takich jak ja.

Odstawiłem więc kubek z kawą i nachyliłem się nad biurkiem, badając zdjęcia zamieszczone na portalu społecznościowym. Na czytanie opisów nie traciłem czasu. Te, w odróżnieniu od fotografii, były bezużyteczne. Powtarzało się w nich „co to, cholera, jest?“, odmieniane na wszelkie sposoby. Ja zaś wiedziałem dobrze, co to jest.

Na zbliżeniach półprzezroczyste larwy wiły się na sobie, a ciemne łebki zwróciły w jedną stronę, jakby ciągnęła je nieznaną siłą. W szerszej

perspektywie widać było, że tysiące, setki tysięcy robaków zbiły się w masę i pełzły razem ścieżką w cieniu świerków, obok tenisówek turysty uśmiechniętego jak ostatni idiota. Pleń mógł mieć nawet dwa metry długości. Turysta zaś z całą pewnością był kretynem. Na kolejnym zdjęciu udokumentował, jak dźga larwy palcem, toteż nie miałem wobec niego żadnych wyrzutów sumienia, co mi się czasami jeszcze w mojej robocie rzadko, bo rzadko, ale zdarzało. Tym razem ani mi serce nie drgnęło, ani palce, lekko tańczące po klawiaturze.

„Zapłacę 1000 zł, jeśli zbierzesz robactwo do pojemnika i poczekasz na mnie” – wystosowałem wstępną propozycję handlową.

„1500 zł” – odpisał. Nie dość, że idiota, to jeszcze pazerny. „Ile chcesz tych robali? Pełna puszka po piwie wystarczy?”.

„Za 1500 zł to chcę wszystkie. Skontaktuję się, jak będę na miejscu” – zapewniłem i wylogowałem się z serwisu.

Spakowałem się nieśpiesznie. Trzygodzinną podróż samochodem umilała mi wizja samotnego turysty w sudeckich okolicznościach przyrody, wykonującego za mnie i dla mnie moją robotę. Wyobrażałem sobie, jak pod milczącymi szczytami nieszczęśnik zachłannie zgarniał rojące się, wilgotne larwy. Na początku przez reklamówkę, potem dla wygody gołą ręką. Jego twarz wykrzywiało obrzydzenie, ale pracował dzielnie. Wybierał robaki ze ściółki i miażdżył ich przezroczyste ciała w niezgrabnych palcach. Żywa ilustracja sentencji „sprzedać duszę dla mamony”. W tle malowniczo i znamienne piętrzył się masyw skalny kryjący dziesiątki szczelin i wąwozów. W tym, nomen omen, Piekielko i Diabelską Kuchnię. Zawsze kochałem góry za te obrazowe, tematyczne nazwy, a nade wszystko za ukryte doliny i cieniste parowy – za trudno dostępne miejsca, gdzie przez wieki znajdowali schronienie ludzie o nie zawsze najczystszych charakterach. Po śmierci też ich tam ciągnęło; trwała w nich niezmiennie potrzeba, by się ukryć w cieniu szczytów, i przeświadczenie, że będą tam bezpieczni.

A niedoczekanie, zygu-zygu, bowiem oto nadjeżdżam.

Plan ucieczki przez góry był niezły, przynaję. Działał bez pu-
dła jeszcze kilkadziesiąt lat temu. Kto by zbiegów wypatrzył tam, gdzie

nie uświadczysz żywego ani nadnaturalnego ducha? Tyle że takich odludnych miejsc w naszych ciekawych czasach było coraz mniej. Ja zaś miałem internet, a każdy turysta wędrujący po szlakach komórkę z aparatem, konto na jakimś serwisie społecznościowym i niesłabnące parcie na wirtualne szkło. Trzeba iść z czasem, postępem i osiągnięciami. Cóż jednak może o rozwoju turystyki górskiej i fejsbuku wiedzieć banda średniowiecznych łajdaków, z których pewnie żaden nawet nie potrafił się podpisać, a jeśli uprawiali wędrowki, to głównie w celu rozboju?

Mój nieświadomy pomagier-turysta czekał pod schroniskiem na Szczelińcu. Unosząca się wokół niego woń przetrawionego alkoholu poświadczala dobitnie, że czekał niecierpliwie albo potrzebował się znieczulić po bliskim kontakcie ze zbitymi w drgającą masę larwami.

– Pokaż – zażądałem, przysiadając obok niego na drewnianej ławie.

Przełknął ślinę i zbladł. Nic na to nie mogłem poradzić, niewymuszenie wzbudzałem trwogę w śmiertelnikach. Taki talent wrodzony...

– Myślałem, że pan jaja sobie robi i nie przyjedzie. – Turysta zabrał się za rozpinanie plecaka, próbując gorączkowo nawiązać rozmowę.

Zajrzałem do wydobytej i podsuniętej do wglądu reklamówki. Te larwy, których nie spotkała przykra śmierć przez zgniecenie – o, jak mi przykro – zaczęły się kłębić w amoku. Ani chybi zostałem rozpoznany. I bardzo dobrze... rzadko bowiem, ale zdarzało się, że zamiast uciekinierów łapałem zwykle robaki. Te jednak były czymś więcej. W czarnych łebkach – umocowanych na przezroczystych, obłych ciałach – tliła się jaźń, świadomość popełnionych win i należnej za nie kary. Dlatego tysiąc pięćset złotych przeszło z ręki do ręki.

– Pan jest jakimś naukowcem od robaków? – dociekał turysta. Widocznie nie znał przysłowia, że ciekawość jest pierwszym stopniem do piekła.

– Można tak powiedzieć. Lubię je łapać.

– To co to jest? – Wskazał palcem na pełną larw reklamówkę.

Oparłem się o kamienny murek i zapaliłem papierosa. Właściwie to nigdzie się nie spieszyłem. Widoki były piękne, a jak już mówiłem,

kochałem góry. Do tego słońce przypiekało przyjemnie, przez co w foliówce wszczął się ślamazarny, robaczy ferwor, gdy larwy doświadczały przedsmaku tego, co je niebawem czeka. Wpadłem w łaskawy i rozmowny nastrój.

– Toto jest pleń. Robak hufcowy inaczej. Zazwyczaj obserwuje się go w górach. Starzy górale wierzyli, że zebranie go i ususzenie przynosi dostatek.

Nie dodałem, że mieli rację, jak to zazwyczaj starzy górale. Jednak oprócz zebrania i suszenia larw należało jeszcze je sprzedać komuś takiemu jak ja. Nie wspominałem też, że niektórzy podtykali robactwo księdzu do poświęcenia. Ten zwyczaj, w odróżnieniu od poprzedniego, był bardzo szkodliwy i nie należało go przypominać ani propagować wśród współczesnych górali i niedzielnych turystów.

– A dlaczego one tak maszerują razem?

Zaśmiałem się. Nad tą zagadką trudziły się znacznie mądrzejsze głowy niż jego. Nie wymyśliły nic, bo rozwiązanie nie było dostępne dla nauki. Więcej w poszukiwaniach mogła pomóc wiara.

– Co pan z nimi zrobi? – zapytał chłopak nieśmiało.

Wyraz mojej twarzy musiał go zaniepokoić – powinienem się bardziej pilnować.

– Ususzę. – Uśmiechnąłem się, tym razem oszczędnie i łagodnie. Poczekałem, aż odszedł. Dopytałem, czy ktoś dzisiaj wieczorem planuje ognisko, a uzyskawszy potwierdzenie, mocno zawiązaną reklamówkę wetknąłem pod ułożone już polana, gdy tylko się ściemniło. Mogłem rozpaść ogień sam, z dala od niepowołanych do nadnaturalnych widoków oczu studentów z uniwersyteckiego koła turystyki pieszej, ale tak się wczułem w sudeckie plenery, że obudziła się we mnie filuterna fantazja rozbójnika Rumcajsa. Niech sobie młodzieńcy i panienki obejrzą rzeczy, o których nie śnili filozofowie. Z poczuciem spełnionego obowiązku wobec świata i wieczności oddałem się błogiemu lenistwu w wynajętym pokoju w schronisku, z dobrym widokiem na arenę wydarzeń, które tak sprytnie zaaranżowałem.

Ognisko strzelało w niebo snopami iskier, otoczone przez najeżony badylami z kiełbaskami na czubku ludzki krąg. Wesole towarzystwo nie zauważyło, że niebo najpierw pociemniało, a od widnokręgu zaczęła bić ognista poświata. Zamiast tego jeszcze dorzucili gałęzi sosnowych z igliwem, aż płomień skoczył żarłocznie w górę. Żar dotarł wreszcie do reklamówki pełnej larw, które dotąd piekły się wolno pomiędzy polanami. Zbiegli z piekła potępieńcy wcieleni w robacze powłoki wrzasnęli jednym rozpaczliwym głosem. Aż się rozedrgane, pełne bólu echo odbiło od gór i ciemnych ścian lasu! Między płomieniami zatańczyły cieniste sylwetki. Studenci, zdjęci trwogą, w pierwszej chwili skamienieli ze zgrozy, by naraz rzucić się do panicznej ucieczki, gubiąc patyki do opiekania kiełbasek. Tymczasem grzesznicy dogorywali w ogniu, płacząc unisono. Mieli za czym rozpaczać. Gdyby po ucieczce z piekielnej otchłani przepętlili w pyłe ziemi i robaczym znoju trzy dni, a odbywszy tę pielgrzymkę, wychodowali skrzydła i wzlecieli ku niebiosom, męki by im darowano. Taka łaskawie uchylona przez tych z Góry furtka... tylko że się nie udało. Znowu.

Zamknąłem okno, bo i sprawa zbiegów była zamknięta.

Otwartą pozostawała kwestia turysty. Dotykał nagich dusz grzeszników skazanych na tortury w piekle. Nie ma siły, żeby coś do niego nie przylgnęło razem ze śluzem wydzielanym przez larwy, w które przemieniły się po ucieczce z kotłów pełnych siarki. Coś należącego do nich już go naznaczyło – coś niematerialnego i po stokroć bardziej obrzydliwego niż robacza powłoka.

Turysta niebawem zacznie mieć sny i myśli, jakich sam by się po sobie nie spodziewał. Może ulegnie podszeptom i w swojej życiowej wędrówce zejdzie na drogę grzechu, a może nie.

Należało go obserwować.



Opowiadanie opracowali:

Redakcja: Agata Bisiecka

Korekta: Maria Bernaciak, Katarzyna Kon, Ilona Skrzypczak

Weryfikacja: Małgorzata Lisiecka, Patrycja Pancierz, Magdalena Piniak,
Anna Twarowska

Szczytywanie: Anita Brzozowiec
